№ 4. Warszawa, dnia 23 (11) Stycznia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

INTERPELACYA.

Skończył się wreszcie bezsilny protest —interpelacya posłów polskich w sejmie niemieckim co do wydalań została „załatwioną." Jak wiadomo czytelnikom naszym, wywołała ona namiętną odpowiedź ks. Bismarka oraz kilka wniosków, usiłujących ją bądź złagodzić, bądź wzmocnić i rozszerzyć. Cały ten materyał związano w jeden snopek i postawiono na porządku dziennym. I oto objawiła się w całej swej chwale a właściwie mizerocie sławna „odwaga" niemiecka. Po pierwszem wystąpieniu kanclerza sądzono, że w poddańczych sercach, napełnionych popiołem pokory, rozżarzą się iskry sprawiedliwości, współczucia lub gniewu. Nawet grożono w krótkich mowach parlamentarnych, wstydzono się, zapowiadano walkę... Zaraz potem drużyna najprzyjaźniejsza polakom, partya katolików zaczęła brać tony niższe i zmniejszać swoje poparcie. Nareszcie po długich matactwach i odwłokach interpelacya polska weszła pod obrady d. 15 stycznia. Uzasadnił ją w 1½ godzinnym wywodzie ks. Jażdżewski, którego mowa niedość zrozumiała, niedość mocna w treści i formie, nie zrobiła należytego wrażenia. Jest to dziś bardzo dotkliwą ułomnością Koła polskiego w Berlinie, że ono nie posiada znakomitego mówcy, albo też, że jego wysuwani na front rzecznicy nie są znakomitymi. Stronnictwa liczne, silne samą ilością swych członków i niepotrzebujące ciągle rozwieszać publicznie obrazów swego ucisku, mogą daleko łatwiej obyć się bez Cyceronów, niż drobne, skazane na walkę czysto oratorską. Jeżeli centrum w jakiejkolwiek sprawie po prostu: powie *nie*— samo to jego *nie*, złożone ze 100 głosów, ma swoją wagę. Ale polskie *nie*, powtórzone przez 15 ust, nie znaczy w rachunku parlamentarnym prawie nic a zaważy dopiero wtedy, jeśli na szale spadnie w potężnym rzucie. Do tego ks. Jażdżewski nie jest zdolny — a tego właśnie interpelacya wymagała. To też gdy on skończył poczciwe kazanie— zapanowała senna cisza, nikt nie zażądał głosu: jednych wstrzymywał wstyd od przeczenia, drugich obawa od jawnego przymierza z „nieprzyjaciołmi państwa," wszystkich zaś mówca polski ukołysał do drzemki a nikogo nie porwał, nie roznamiętnił, nawet nie rozgniewał. Dopiero gdy poseł Liebknecht (w obronie swego wniosku) zatargał kilkakrotnie nerwami słuchaczów, gdy konserwatysta Helldorf (w obronie rządu) sypnął garść cynizmów i bredni, gdy Winhorst zaczął rzucać w Bismarka ostre groty, rozprawa nieco ożywiła się.

Przynajmy, że brak jej było ważnej podniety — Bismarka. Wszystkie miejsca przedstawicieli rządu były puste, a gdy jakiś radca, widocznie nieuprzedzony o obowiązku nieobecności, podczas obrad nad interpelacyą wszedł do sali, uciekł przerażony swem zbłądzeniem. Właściwie zatem wszystkie mowy były monologami: bo na nie ze strony rządu nikt nie odpowiedział. Kanclerz z nienawiści do przedmiotu sprawy, a nadto z konsekwencyi w twierdzeniu, że ona należy do sejmu pruskiego, nie zaś niemieckiego, wreszcie z lekceważenia dla trybunału, który nad nim ustanowiono, nie przyszedł i żadnemu z członków rządu przyjść nie pozwolił. Niech się nakiwają przeciwko mnie palcami w butach — powiedział sobie.

Ostatecznie po odrzuceniu wniosków prawodawczych sejm przyjął ogólnikową naganę dla rządu za wypędzenie niewinnych ludzi. Jest to naturalnie zwycięstwo bardzo idealne, wygnanych nie wróci a skazanych na tułaczkę od niej nie uchroni, ks. Bismarkowi ani jednej godziny snu nie odbierze, ale pomimo wszystko jest to zwycięstwo. Słabo, oględnie, niemal pokornie i bojaźliwie, ale naród niemiecki zaprotestował przeciwko gwałtowi, zaprotestował przeciwko postępowaniu człowieka, przed którym bałwochwalczo klęczy, a uczynił to nie z sympatyi dla skrzywdzonych, lecz pomimo głębokiej dla nich niechęci. Tem większe jest moralne znaczenie tej nagany, którą ks. Bismark po raz pierwszy chyba usłyszał z ust swego narodu. Jeżeli on zaś nie gardzi zupełnie tym narodem, jeżeli nie stracił wrażliwości moralnej, powinienby w tem napomnieniu wyczytać przestrogę, znaleźć dowód, że jednak ów sromotny edykt pruski musiał być niegodziwym, skoro nie uzyskał nawet pobłażania w społeczeństwie, które ślepo korzy się zwykle przed żądaniami i rozkazami swego kanclerza. Daremna to wszakże nadzieja. Nowy kawaler orderu Chrystusa stanął i wyniesiony został tak wysoko, tyle potęg zdeptał, tyle władzy posiadł, taki uczuł zawrót głowy w dymach kadzideł, że on dziś już nie jest zdolny pojąć i uznać świętości jakichkolwiek a więc i moralnych praw po za swoją wolą. Logika etyki tego strasznego człowieka zna tylko jedną postać wniosku prawidłowego: moralnem jest to, czego ja chcę, a ponieważ chcę wygnać i wytępić polaków, więc gwałt ten jest moralnym.

Nie mają dziś ci biedacy przyjaciół w świecie, wolno wszakże wątpić, czy ostrze tego wnioskowania przyłożone nawet do ich szyi, uznane będzie jako nóż ofiary świętej. Zdaje nam się przeciwnie, że wobec świata Bismark przegrał proces

z polakami, chociaż nie został skazany na zwrot im należności, tylko na — koszta moralne.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 11 stycznia.

Hamletowskie pytanie na wstępie. — Ogólny zastój i upadek. — Jakimi manowcami błąka się austryacka polityka zagraniczna. — Wewnątrz nie lepiej. — Reakcya ekonomiczna i jej skutki. — Nieco o ugodzie z Węgrami. — Niemieccy klerykaliści i szkoła.

Czy do chóru żałobnych śpiewów, które ze wszech stron odzywają się na zakończenie starego roku, mamy dorzucić i z naszej strony ton goryczy i narzekania? Z pytaniem tem ważymy się jak królewicz duński w dramacie Szekspira, bo nie chcielibyśmy pomnażać monotonii pesymizmu. A przecież, trudno powstrzymać się od tego, bo gdziekolwiek sięgnąć myślą, w którąkolwiek stronę rzucić okiem, zewsząd uderza nas widok zastoju i upadku, a znikąd nie świeci złocistym promieniem jutrzenka nadziei — promieniem, który mógłby stanowić rękojmię lepszej przyszłości. W Austryi więcej, niż gdzieindziej, podniesiono przy schyłku ubiegłego roku utyskiwań, i na tem polu znaleźli się przyjaciele i wrogowie panującego systemu razem. Zadowolonego oblicza nie widać nigdzie, bo jednemu to, drugiemu owo, a każdemu coś dolega. We wszystkich dziedzinach życia publicznego Austryi spostrzegamy namacalnie coraz większy upadek.

Położenie polityczne pogarsza się. Austryacka polityka zagraniczna błąka się po manowcach niemieckiego egoizmu i niemieckiej brutalności, których skutki zaznaczyły się na półwyspie Bałkańskim krwią, jaką „ślepy miecz“ brata utoczył bratu z pod samego serca. Na pobojowisku wojennem leżą wprawdzie spokojnie stosy trupów w zimnych jamach i tylko ptactwo, szukające żeru, przerywa swem krakaniem panującą chwilowo ciszę na śniegiem zawianych polach walki serbsko-bułgarskiej, ale któż zdoła odgadnąć, azali ten spokój nie jest tylko zwiastunem nowych krwawych zapasów pomiędzy Kainem a Ablem słowiańskim i czy te zapasy nie będą w swem następstwie hasłem do wybuchu wojny na innem miejscu półwyspu, dynamitem dla tak zwanego „koncertu mocarstw“ europejskich? Któż zdoła przewidzieć, jakie jeszcze wyniknąć stąd mogą zawikłania ogólno-europejskie, których burzą spienione i wysoko bijące fale zagrażałyby skołatanej nawie austryackiej polityki zagranicznej utonięciem? Bądź co bądź, nawa ta puściła się na bystre i niebezpieczne wody, tak dalece, iż dziś już król Milan, zmuszony smutnym wynikiem opieki austryackiej, szuka ratunku dla siebie w zbliżeniu się do Risticza i jego stronnictwa, Austryi wrogiego. Z drugiej strony polityka hr. Kalnokego, bijąca czołem przed siłą pięści, gwałcącej w Niemczech najświętsze prawa ludzkości, ma zaraz na wstępie do „zanotowania“ dotkliwą porażkę, skoro jej nie udało się, nawet tak wielkiemi ofiarami, utrzymać swojego wpływu w Belgradzie. Ale to tylko początek owoców, jakie zbierać będzie.

Wewnątrz dzieje się nie lepiej. Spory narodowościowe przybierają coraz zaciętsze i namiętniejsze cechy, a z ich odgłosów wytwarza się coraz dzikszy chór. W braku chwilowo Rady państwa przeniosły się one do sal sejmowych, gdzie — jak np. w Czechach—wybuchają gorsząco. Z sejmów przerzucą się one niebawem do parlamentu, pozostaną przeto chorobą stałą. Przybytek ich, jak ongi świątynia Janusa za czasów wojującej Romy, ciągle będzie otwarty.

Te ustawiczne kłótnie i swary wypełniają cały czas drogi, pochłaniają zupełnie czynność osobników i grup, powołanych do użytecznej pracy dla ogółu. Dlatego jałowy zastój ogarnia dziedzinę ekonomiczną i społeczną, dla tego upadek ogólnego bytu materyalnego zaznacza się wyraźnie i zastraszająco. Głodni wołają we wszystkich „językach austryackich:“ chleba!—skrzepli od zimna wyciągają dłoń po kawał węgla kamiennego, a zamiast chleba i węgla rzucają im zajadłą szermierkę o „rozporządzenie językowe,“ lub o to, czy stróż nocny w miasteczku X. lub Y. ma wołać: kto tam! w języku niemieckim, czeskim, czy słowieńskim! Ma to ich zadowolnić w srogiej potrzebie życia! Masy ludności roboczej, bez względu jakiej używają mowy, nie rozumieją wcale tych haseł swoich „legalnych przedstawicieli.“ Nędza przysłania im wyrok na podobnie „szczytne“ i idealne rzeczy; czują instynktowo, że w maszynie „wyższej polityki“ musiały się koła połamać lub popsuć, skoro ciężka praca nie może już zdobyć chleba, opału i odzieży. Niezadowolenie tli się na olbrzymiej przestrzeni i szerzy jak podziemny ogień na polach torfowych, obejmując coraz większe kręgi. Czuć wszędzie zapach swędu, widać po ścielącym się dymie, który owiewa ziemię, jak okiem sięgnąć można, że ogień rośnie a z nim niebezpieczeństwo. Tylko powołane czynniki, zacietrzewione jak koguty w walce jałowej i drobnostkowej, nie mają czasu czy nie chcą tego dostrzegać. A przecież sprawiedliwa ustawa językowa i rzetelne przestrzeganie zasad autonomistycznych mogłyby raz na zawsze położyć kres sporom i zwrócić działalność ustawodawstwa w dziedzinę palących kwestyj ekonomiczno-społecznych.

Ale prawda, wszak gabinet hr. Taaffego oddał w ręce niemieckich klerykałów, pobożnych książąt Liechtensteinów, Lienbacherów i Zallingerów, lubiących się zwać „chrześcijańskimi socyalistami,“ reformy przemysłowo-społeczne. Reformy te zdradzają od początku do końca zimną reakcyę, chociaż wytknęły sobie za cel polepszenie bytu przemysłowców a nawet robotników. Główne środki też, jakich użyto, polegają na ograniczeniu wolności handlu, przez zaprowadzenie wysokich ceł ochronnych, i zarobkowania, za pomocą tak zwanej „noweli przemysłowej,“ która wskrzesiła średniowieczne cechy, i wprowadziła tak zwany „dowód uzdolnienia“, utrudniający współzawodnictwo, a przeto pozbawiający robotników częściowo zarobku a nadto stawiający ich w zawisłości od majstrów. Po tych środkach spodziewano się, a zwłaszcza mali przemysłowcy mniemali, iż przez usunięcie konkurencyi i ustrój cechowy byt ich polepszyć się musi. Oczekiwania te wszakże nietylko zawiodły, lecz nawet reformy przyniosły wręcz przeciwny skutek, co zresztą było łatwem do przewidzenia, ponieważ przyczyny upadku ekonomicznego tkwią zupełnie gdzieindziej, aniżeli w ruchu handlowym i w wolności zarobkowania. Na smoka, na kapitalizm, pochłaniający ofiary pracy i wogóle wytwórczości przemysłowej, nie zwrócono bynajmniej uwagi. Obłęd był tak ogólny, że nawet robotnicy, lubo z początku zaznaczyli wyraźnie swe niezadowolenie ze wspomnianej „noweli,“ wzięli później udział zgodnie z nową ustawą w organizacyi cechowych stowarzyszeń. Teraz jednakże po mniej więcej rocznem wypróbowaniu tej instytucyi, wszczął się śród nich ruch przeciw stowarzyszeniom cechowym; odbywają się zgromadzenia, w których

---

3)

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIĄ PRACĘ.

III.

Jest powiat między Dnieprem i Prypecią, tam powędrował Żurba ze swą rodziną na służbę. Nowy chlebodawca jego Zazorskim się nazywał. Miał on posiadłość z czterdziestu tysięcy mórg składającą się, w tej liczbie lasu włók—dwadzieścia. Był to człowiek podeszłych już lat, ojciec jego należał do przedostatniej konfederacyi i pragnąc mieć jaknajwięcej „bydła roboczego,“ spalił papiery, świadczące o szlachectwie jego czynszowników.

Żurba objął obowiązki nadleśnego.

Rozpoczął działalność swą od poznania lasów, ich uroczysk, kniei, od przejrzenia rachunków poprzednika. Ożyły mu w pamięci wszystkie porządki, jakie panowały w zarządzie dóbr leśnych księcia Wirszajłły. Siła jakaś pchała go do ulepszeń w mieniu chlebodawcy.

— Panie podkomorzy, kiedym służył u księcia, blankiety do kwitów były takiej formy.

Następował opis.

— A dobrze, panie Żurbo — odpowiadał dziedzic nosowym, pańskim głosem — i jabym życzył u siebie tego samego.

Wtedy Żurba zaprowadzał nowy ład w zarządzie leśnym, a pan podkomorzy rad był. Pewnego dnia przed dziedzicem, rozpartym w fotelu, ożywiony aż do rumieńców i z okiem pałającem, stojąc z uszanowania, taką wiódł rozmowę:

— Dam panu dochodu rocznego z lasów od piętnastu do dwudziestu tysięcy, ale potrzebuję, żeby zarząd do mnie całkowicie należał.

Chlebodawca zamyślił się. Przypomniał sobie jedynaka ukochanego, któremu nie potrafiłby odmówić pieniędzy. A syn dużo ich pochłaniał na uczty w stolicy, karty i kobiety, nieobojętne dla niego, pomimo żony. Córkom posagi trzeba było dać wielkie, żeby mężów łatwo kupić sobie mogły. Rozjaśnił więc czoło.

— Dobrze— rzekł. Daję panu wszystkie lasy swoje w zupełny zarząd. Jak mamy się umówić co do wynagrodzenia?...

— Poprzestaję na dotychczasowej pensyi.

— Jakto, panie Żurbo? — krzyknął uradowany i zdziwiony dziedzic.

— Prócz tego, wymagam procentów od dochodów, które panu dam...

Z chmurą na czole przystał pan na żądanie. Rozpogodził się jednak i prosił usiąść, gdy oficyalista nie okazał chciwości przy oznaczaniu stopy odsetek dla siebie. Były one bardzo niskie. Okolica ganiła Żurbę za to. Kto inny, niejeden z ganiących na jego miejscu postąpiłby zgodniej z własnym interesem.

— Nie zrobi majątku — gadali jedni.

— Będzie kradł! — prawili drudzy.

Miał sześćset rubli pensyi i nadzieję tysiąca tantiemy, a był w sile wieku, liczył sobie trzydzieści siedm lat. Miłość jego ojcowską dzieliło troje dzieci. Najstarszą córkę wypadało już oddać do jakiego zakładu. Podwajał więc wysiłki.

Straż leśną urządził na wzór rządowej i dla spotęgowania usilności „leśników“ w dozorze przeznaczył im trzecią część kary pieniężnej, ściąganej od szkodników. Jak ogary tropili wtedy złodziejów, narażali nieraz swe życie, byli bici przez chłopów, pięściami im wygrażano; ilekroć przechodzili przez wieś, często usta ich dolatywały groźby zabójstwa. A byli to również kmiecie, tylko bezziemni, zarobkujący najemnie...

uczestniczy po kilka tysięcy robotników a na których zapadają jednogłośne uchwały przeciw organizacyi cechowej, mające tę praktyczną doniosłość, że robotnicy teraz występują tłumnie ze stowarzyszeń. Jest to atoli tylko początek ruchu, wychodzącego z dołu.

Kłopoty ekonomiczne zwiększa w niemałym stopniu zbliżająca się ugoda z Węgrami, która co lat dziesięć musi być odnawianą. Jeżeli dualizm podciął potęgą państwa i zwichnął jego rozwój, to zawarte z Węgrami *pacta conventa* co do odnawiania unii są istotną plagą dla Austryi, przyczyniając się nadto niepospolicie do wstrząsania wszystkich stosunkami państwowymi. Węgrzy bowiem, którzy ulżyli sobie w wydatkach wspólnopaństwowych w stosunku 30:70 procentów opłacanych przez Przedlitawię, nie poprzestają bynajmniej na tej ogromnej korzyści, lecz występują przy każdem odnowieniu ugody, a więc regularnie co lat dziesięć, z nowemi uroszczeniami, które zmienione na brzęczącą monetę, przedstawiają miliony. Tak samo stało się i obecnie. Niestety, rządy przedlitawskie liczące się z „wpływami Węgrów na koronę,“ ustępują im zwykle, nie dbając o to wcale, że obarczają na korzyść zalitawskich sąsiadów ludność, która i tak ugina się pod nadzwyczajnem uciśnieniem „szruby podatkowej.“ Jeżeli przeto słyszymy z prasy ministeryalnej brzmienie radosnego okrzyku: ugoda już prawie gotowa! — to nie mamy bynajmniej powodu do uciechy, ponieważ podane szczegóły stanowią dowód, iż i tym razem uczyniono Węgrom we wszystkich punktach główniejszych ustępstwa. Dotyczy to atoli przedewszystkiem spraw celnych. Wymusili oni pomiędzy innemi cła zbożowe, co niezawodnie będzie miało ten skutek, że chleb dla biednych podrożeje. Gdyby wszakże na tych opłatach był koniec! Bynajmniej. Oba rządy w porozumieniu—jak powiada szablon półurzędowy—przedstawią obu parlamentom zrewidowaną taryfę celną, co znaczy w zwykłej mowie, iż zanosi się na nowe powiększenie opłaty od rozmaitych wyrobów zagranicznego przemysłu, który kosztem austryackich konsumentów ma chronić austryacki przemysł „od upadku.“

Słowem, gdzie spojrzeć, wszędzie reakcya: polityczna, ekonomiczna i społeczna, zabijająca wszelką myśl zdrowej inicyatywy i pożytecznej dla ogółu pracy.

Swoją drogą bruździ niemieckie stronnictwo klerykalne po sejmach w sprawie szkolnej. Zarówno w stolicy Tyrolu, jak Solnogrodu i obu Austryj podnosi ta hydra swój łeb szkaradny do góry i szczerząc zęby, robi minę, jak gdyby chciała pożreć wolność nauki, zacząwszy od szkół elementarnych a skończywszy na wszechnicach. Przedewszystkiem chodzi klerykałom o szkoły ludowe, które pragną poddać pod tyranię mitry i sutanny. W sejmach to tylko szermierka przedniej straży, właściwa walka rozpocznie się dopiero w Izbie poselskiej. Możemy śmiało już teraz przygotować się na nowe, przejrzane wydanie „noweli szkolnej,“ która szczególnie Kołu polskiemu sprawiła tyle przykrości. Ale wola klerykałów jest wszechmocną, ona przemoże wszelki wstyd, wszelkie wahanie się, bo ona jest po prostu pośrednim rozkazem tak dla rządu jak i dla prawicy. *Sic volo, sic jubeo* Liechtensteinów i Lienbachera kruszy z łatwością wszelkie zapory, działa jak przyłożony rewolwer do piersi człowieka, którego chce się obedrzeć. Bez klerykałów niema większości, a te cztery słowa mówią wszystko.

Pan Lienbacher, pomimo lat 70, jest nowożeńcem. Niechaj tego nikt nie bierze za przenośnię lub żart. Bogobojny bowiem ten mąż rzeczywiście zaręczył się z ośmnastoletnią panną. I niech tu kto prawi o braku przedsiębiorczości u klerykałów! Brak chyba jeszcze, żeby „wojowniczy“ monsignore Greuter, zakasawszy rewerendy, dosiadł znanej „szkapy z Hippach“ i dowodził dywizyą kawaleryi.

Powtarzamy: reakcyą i zastojem skończył się rok stary, a ze spotęgowanemi temi znamionami charakterystycznemi rozpoczął się nowy. Jak długo będzie zmora wstecznictwa przytłaczała piersi i hamowała wolny oddech?

S.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 15 stycznia 1886.

Stanowisko partyj rusińskich względem mowy ks. Pełesza. — Wahanie się ks. metropolity.

Mowa ks. biskupa Pełesza, wygłoszona w sejmie przy obradach nad wnioskiem Romańczuka, a uznana zaraz za program rusinów przez księcia Sapiehę i przez całą prawie prasę galicyjsko-polską, bardzo niejednakowe wrażenie wywarła na organy pojedynczych rusińskich stronnictw, czy też odłamów. Dziennik narodowców *Dilo* w numerze 142 powitał ją entuzyastycznie, jako swój własny program, głosząc zarazem w nadmiarze uniesienia, że „kto nie przyjmie tego programu, ten traci prawo nazywania się rusinem, od tego cała Ruś nie tylko odwróci się z pogardą, ale pójdzie przeciw niemu. Z rusińskiej strony ukończono już rachunek z antinarodowemi rojeniami, z antikatolickiemi i antiaustryackiemi zachciankami jednostek, za czem pójdzie energiczna i pozytywna praca we wszystkich tych trzech kierunkach.“ A więc kto nie jest narodowcem, kto nie jest katolikiem i kto nie jest austryakiem, ten nie tylko nie ma prawa nazywać się od d. 28 grudnia 1885 roku rusinem, lecz nadto staje się wrogiem Rusi. A więc od tego dnia rusini galicyjscy, zjednoczeni pod sztandarem ks. Pełesza, zaczynają pozytywną pracę w kierunku narodowym, katolickim i austryackim! Jaka to będzie praca, bliżej nie wiemy, lecz bądź co bądź życzymy jej powodzenia, chociaż równocześnie życzyć by wypadało nieco chłodniejszej krytycznej rozwagi nad tem, czy rzeczywiście program ks. Pełesza (naturalny z jego stanowiska, jako biskupa katolickiego), obejmuje cały naród małoruski, czy jest tak zupełnie identyczny z zasadami narodowców i czy był to, jak mówi *Dilo*, „dawny i święty program całego rusińskiego narodu?“

Daleko chłodniej zachował się *Nowy Prołom*, organ „Ruskoj Rady,“ w obecnym czasie lawirujący i kokietujący na wszystkie możliwe strony. W mowie ks. Pełesza nie dojrzał żadnego programu, chociaż widzi w niej wiele prawdziwych i trafnych myśli. Wielką wagę przywiązuje do tego entuzyazmu, z jakim powitali mowę narodowcy, a z tej przyczyny wyraża życzenie, ażeby ks. Pełeszowi udało się sprowadzić ich rzeczywiście na drogę narodową i kościelną, która wówczas—o czem *N. Prol.* nie wątpi — będzie taką samą, jak jego własna.

Jedno tylko *Słowo* zajęło stanowisko czysto odporne, a w swem sprawozdaniu sejmowem zbyło mowę krótko: „Dalej przemawiali jeszcze ks. Pełesz, książę Sapieha i inni, żeby wreszcie nie dogadać się do niczego.“ Fejletonista zaś tego organu w humorystycznym przeglądzie ubiegłego roku pisze: „Na r. 1885 przepowiadali astronomowie trzy zaćmienia słońca, i rzeczywiście, wszystkie trzy spełniły się na naszej Rusi halickiej. Pierwszem zaćmieniem był zamach narodowców na bank

---

Żurba miał także dużo niepokojów i trosk przy wyciskaniu dochodów. Wynajął ludzi zubożałych z poza Dniepru do gięcia płozów i obwodów do kół z jesionu, a potem miał z nimi wiele kłopotu, bo umówili się, żeby ich dziedzic żywił. Więc trzystu robotników doglądać i karmić musiał Leśniczym i leśnikom nie zupełnie ufał, lecz sam codzień jeździł do parników obejrzeć, czy dobrze i sprawnie robota szła. Drzewa tam sterczały, splatając się z sobą konarami bezlistnymi, u stóp ich śnieg bielał, w powietrzu unosił się dym z drew osinowych. W parnikach prażyły się jesiony i ludzie krztusili się. Inni snuli się koło tak zwanych „bab,“ otaczając je gorącymi i buchającymi parą drągami, z czego potem robiono płozy lub obwody. Ten towar leśny miał wielki odbyt u kupców... Żurba wziął od nich zaliczkę, za którą mu pan podkomorzy rękę uścisnął mocno; przytem określony był czas odstawy na brzeg, więc po całych dniach przepadał on w lesie, chcąc robotę przyśpieszyć. Wracał zaś późnym wieczorem do ogniska domowego, gdzie żona, strwożona długą nieobecnością, przypisując ją przypadkowi groźnemu dla życia lub zdrowia, oczekiwała z bijącem sercem.

Często, z powodu handlu towarem leśnym, na kilka tygodni wydalał się z domu, zostawiając żonę na pastwę myśli dzikich i przypuszczeń szalonych. A nuż burza wyrwie drzewo z korzeniem i ciśnie nań, gdy jechać będzie. zmiażdży go niechybnie! Na rzekach lód cienki od promieni i wiatrów wiosennych, nuż pęknie pod nim w czasie przeprawy!... Jemu samemu nieraz serce nierównem tętnem uderzało na myśl pożaru lub choroby, któraby istoty drogie dotknęła...

W końcu roku ze sprawozdania, wytwornie i sumiennie ułożonego przez Żurbę, pan Zazorski, dziedzic na Tupohladach, Holiszczach i Temurkach, dowiedział się, iż do jego kasy z lasów wpłynęło dochodu —szesnaście tysięcy...

— Dobrze się spisał Żurba — gadali jedni w okolicy. „Dał“ Zazorskiemu szesnaście tysięcy czystego...

— To dopiero dziw! Więcej można było dać — sykała zawiść. Dwadzieścia!..

— No, trudno... Jakże chcecie — pierwszy rok!...

— Do kieszeni schował kilka tysiączków! — wnioskowali inni przyzwyczajeni do kradzieży i przeniewierstwa oficyalistów, źle opłacanych.

W duszy i charakterze Żurby zaszły zmiany. To, z czem przez ośmnaście lat stykał się, wyryło swe ślady. Nie był to już ów młodzieniec z pierwszych dni służby u księcia, pielęgnowaniem kwiatów i ptasznictwem zajęty. Myśl jego utonęła w codziennych, gospodarczych szczegółach, w rozmowie dźwięczały imiona kupców, żydów, w głowie roiły się i z ust nie schodziły punkty umów różnych. Nie zatracił wprawdzie poczucia godności, lecz nabył mnóstwo ruchów takich, jakie powstają przy stosunkach zależności. W miarę zwiększania się rodziny, częściej musiał tłumić gniew, burzony przez niesłuszne uwagi chlebodawcy.

— Czybym to znosił pokornie — mawiał — gdybym był bez rodziny? Manatki pod pachę i w świat! Nie brałem przecie ślubu z dziedzicem.

Mieszkał z rodziną we dworze, w oficynie, niedaleko pałacu. Był więc pod pańskiem okiem, skrępowany ciągle. Dzieci nie śmiały w zabawach swych sięgnąć dalej, jak do połowy kolistego trawnika, pierzchały, zapędziwszy się zbytnio, z bojaźnią spozierając na pałac o dużych, wspaniałych oknach, o rzędzie słupów białych przed gankiem i o dachu czerwoną blachą krytym. W dni świąteczne „pan podkomorzy“ zapraszał Żurbę na obiad. Szedł on tam, żeby u stołu czuć się onieśmielonym i przybitym okazałością zastawy i umeblowania, żeby wysłuchać rozmów

Kryłoszański, drugiem—zamach na „Dom Narodny;“ wreszcie trzecie wypadło pod sam koniec roku, a była niem mowa ks. Pełesza w sejmie lwowskim.“

Rzecz ciekawa atoli, że ks. metropolita Sembratowicz, który z mowy ks. Pełesza w kilku punktach musiał być niezadowolony, już chociażby dla tego, że jeden jej ustęp dość niedwuznacznie zwrócony był przeciw niemu za to, że zastępując marszałka, w sejmie nie przywołał do porządku panów Torosiewicza i Golejowskiego—mimo urazy osobistej widocznie zawahał się, czy iść dotychczasową drogą, czy też wracać? A dotychczasowa droga ks. metropolity wcale nieszczególnie świadczyła o jego rozumie politycznym. Dał on się po prostu „skonfiskować“ partyi t. zw. twardej, która rada była znaleść w nim oporę dla swoich własnych celów. Otóż obecnie ks. metropolita zawahał się, a jak mi mówiono, na uczcie intronizacyjnej ks. Pełesza w Stanisławowie w prywatnych rozmowach przedstawiał się także jako narodowiec. Czy zwrot ten będzie stanowczym i o ile zaważy na szali naszych stosunków, tego obecnie rozstrzygnąć nie można, zwłaszcza z uwagi na to, że organ ks. metropolity, *Mir*, redagowany jest przez ludzi z „starej“ partyi, że więc z tej strony zwrot do narodowstwa będzie dosyć trudny.

I. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wszystkie państwa bałkańskie odpowiedziały już urzędownie na zbiorową notę mocarstw i, rozumie się, odmawiają rozbrojenia: Serbia dlatego, że jeszcze pokoju nie zawarła, Bułgarya— że uczyniła wszystko, co mogła, więcej zaś ze względu na bezpieczeństwo własne nie uczyni, Grecya wreszcie — że czekać musi na rozwiązanie sprawy rumelijskiej, ażeby przekonać się, czy interesy jej nie zostaną naruszone. Turcya również nie usłuchała wezwania, obraziła się nawet, że porównano ją z małemi państewkami, i jakby w odpowiedzi na niewczesną propozycyę, wydała rozkaz uruchomienia 100 batalionów rezerw. Energia ta świadczy, że „chory człowiek“ umierać nie chce i jako prawdziwy barbarzyńca nie ufa radom światłych europejskich lekarzy. Uzbrojenia tureckie są raczej przygotowaniem się na wszelki nieprzewidziany wypadek, aniżeli odpowiedzią na wojowniczą postawę Grecyi, bo do obrony granic stojące pod bronią siły aż nadto wystarczają. Grecya znowu na żądanie rozbrojenia odpowiada powiększeniem armii a Serbia powołała drugie rezerwy.

Zbiorowa nota mocarstw ma być powtórzoną „z naciskiem.“ Czy jednak nacisk ten wystarczy i niebezpieczeństwo wojny usunie? Wątpić można o tem i zdaje się, że mocarstwa podzielają to zdanie, ponieważ na wypadek wojny grecko-tureckiej przygotowują t. z. protokół bezstronności, w którym zobowiązują się nie pomagać żadnej ze stron wojujących.

Układy o pokój między Serbią i Bułgaryą toczyć się będą w Bukareszcie; tymczasem książę Aleksander stara się jak najprędzej ukończyć sprawę unii, dlatego zapewne, żeby w ciągu rokowań wystąpić z faktem dokonanym. Turcya wyraziła już pośrednio zgodę swą na połączenie księstwa z Rumelią, stawi wszakże jeden warunek, żeby w razie wojny z Serbią lub Grecyą armia bułgarska działała razem z otomańską. Warunek ten niebezpiecznym jest dla Bułgaryi, ponieważ zawikłania na półwyspie Bałkańskim przybrać mogą szersze rozmiary i wciągnąć młode państwo w wojnę, w której narażonem będzie bezpieczeństwo jego a nawet istnienie.

Ważną wiadomość przynoszą gazety rosyjskie. Na paradzie wojskowej w Petersburgu w d. 18 stycznia generał Kantakuzen przedstawił Cesarzowi oficerów rosyjskich, którzy służyli poprzednio w Bułgaryi. Najjaśniejszy Pan wyraził im swoje podziękowanie. Dzienniki utrzymują, że oficerowie ci powracają obecnie do Bułgaryi. Świadczy to, że nietylko unia otrzymała uznanie rządu rosyjskiego, ale że i stosunki przyjazne wznowiły się.

W Anglii gabinet zachowawczy utrzymuje się u steru rządu, chociaż przy pierwszem głosowaniu spotkać go może porażka. Układy z irlandczykami rozbiły się, ponieważ Parnell nie chce ani na włos odstąpić od swych wymagań zupełnej autonomii. Salisbury próbuje więc raz jeszcze załatwić sprawę irlandzką według starej recepty: posada wicekróla ma być zniesioną, również jak ministeryum dla Irlandyi, oraz wydane będzie surowe prawo przeciw nadużyciom rolnym. Inne jednak wiadomości głoszą, że rząd ten projekt cofa, przekonał się bowiem, że irlandczycy gotowi są wywołać zbrojne powstanie. Bądź co bądź, sojusz między zachowawcami i parnelistami uważać można za zerwany, liberalni zato, a szczególniej Gladstone, występują z coraz nowemi obietnicami. Irlandczycy nie bardzo wierzą „staremu przyjacielowi,“ który już ich zwiódł kilkakrotnie, tem bardziej, że i z obozu liberalnego odezwały się głosy przeciwne ugodzie, nie odrzucają jednak zaofiarowań, żądając tylko rękojmi. Dziwny ten targ nie prędko jeszcze zapewne skończy się i en nim kontrahenci zawrą ostateczną umowę, prawdopodobnie nastąpi zmiana gabinetu, rozwiązanie parlamentu i nowe wybory, wreszcie kilka prób zastosowania dynamitu i kilka praw wyjątkowych.

Arcybiskupem gnieznieńskim zostaje podobno niemiec; niektóre gazety niemieckie twierdzą nawet, że stolica archidyecezyi przeniesioną będzie do Berlina; „życzliwość“ Watykanu nie taką może jeszcze niespodziankę gotuje.

We Włoszech profesor Sbarbaro, ostatni socynianin, jak sam się nazywa, wielki przyjaciel polaków, ale większy jeszcze awanturnik, którego za rozmaite skandale w parlamencie i na ulicy skazano na 8 lat więzienia, wybrany został posłem. Rozumie się, rząd musiał uwolnić więźnia, który powrócił już do Rzymu i zaczął wydawać dziennik. Najbliższe posiedzenia parlamentu będą widownią nowych zajść, p. Sbarbaro bowiem nienawidzi ministrów i nie zwykł hamować ani języka swego, ani nawet rąk.

Petersburg. Szlachta guberni symbirskiej podała adres do Cesarza, w którym powiada: „Wierzymy Najjaśniejszy Panie, że Rosya pod kierunkiem Twej woli samowładnej wyjdzie zwycięzko ze wszystkich nawiedzeń Opatrzności. Wierzymy, że podjęte przez Ciebie przekształcenia dadzą nam możność spokojnego w wioskach żywota, wytworzywszy silną władzę, z braku której cierpi dziś zarówno obywatel, jak włościanin. Oby panowanie Waszej Cesarskiej Mości było równie sławnem dla Rosyi i równie groźnem, jak za czasu wielkiej Monarchini prababki Waszej, a spokój i porządek w drogiej ojczyźnie naszej ustalił się.“

Najjaśniejszy Pan rozkazać raczył: „Oznajmić podziękowanie szlachcie symbirskiej i upewnić ją, że osiągnięcie wskazanych w adresie celów będzie przewodnią myślą w pracach, jakie minister spraw wewnętrznych dla przekształcenia instytucyj miejscowych przedsięweźmie.“

---

o pokrewieństwach i anegdotek, dotyczących członków rodziny dziedzica. Wszyscy tam byli zręczni i wykwintni w obejściu, prócz niego. Gdzieś na dnie duszy ambitnej zgryzota osiadła i kłuła go, że dostroić się nie umiał do tych ludzi. Oni z innego świata, a on z innego; na nich inne otoczenie działało, a na niego — inne. Ludzie z dwóch krańców! W duszy smutek, żal i gniew... Takich wrażeń doznawał, a potem wychodził z głębokiem poczuciem swej odrębności klasowej.

— Cóż tam widziałeś, mój drogi?—pytała męża małżonka zaciekawiona. Gadajże prędzej!...

— Et! Co widziałem! Nic szczególnego...

— Ależ przecie!.. Co tam na obiad było?

Wyszczególniał jej potrawy wyszukane, a ona słuchała z zazdrością, nieświadomą siebie. W miarę opowiadania, rozpogadzała się dusza Żurby, pierzchało gdzieś rozdrażnienie.

— Ścisnął mię za rękę z potrząśnieniem — zwierzał się, ociągając.

— Kto? Podkomorzy?

— No, tak! A któżby?

Rada była, żejej mężowi ściśnięto „z potrząśnieniem“ rękę, która dochodu dwadzieścia tysięcy „dała.“

— Czego się cieszysz? Ważna rzecz! Potrzebny im jestem...

— Tak, kochany, ale... zawsze to dobrze względy mieć u pana...

Mówiła w ten sposób, bo miała czworo dzieci i chciałaby im różami wysłać drogę żywota.

— Tche! Względy... Łaska pańska na pstrym koniu jeździ!... Miałem ja stosunki z większymi panami — czupurzył się, podając lewe ramię naprzód za każdem stąpieniem i pykając z cybucha.

Z dawniejszymi nałogami nie rozstał się Żurba, lecz jeszcze je więcej rozwinął. Teraz, jak i dawniej, czerpał wiedzę z dwóch książek, starych swych towarzyszek: z „Lekarza wiejskiego,“ zeszłowiecznego wydania, i z „Technologii.“ Leczył chłopów od chorób żołądkowych ziołami, od reumatyzmów, nabytych w czasie kośby na błotach cuchnących — roztworami komforowymi. Najwięcej przyciągał do siebie ludzi tajemnicą leczenia wścieklizny. Chłopi, ukąszeni przez psa wściekłego, wilka lub kota, stronili od szpitalów, gdzie im boleść sprawiano wypiekaniem ran, a zwracali się do Żurby, który im udzielał proszków, robionych z bulwek trędownika, ziela „na młodziku“ wykopanego. Wypisywał przytem na opłatku lub skórce od chleba jakieś wyrazy tajemnicze z krzyżykami i dawał do spożycia. Żaden z chorych nie cierpiał już potem na wodowstręt. Raz przyszedł doń wybladły, zbolały chłop i, padłszy do nóg, wył:

— Panie, sokole, gołąbku, ojcze! Syn mój umiera!.. Pies go wściekły pogryzł, więc teraz pianę z ust toczy i łbem o ściany i podłogę tłucze... Ratuj, ojcze, gołąbku!.. To mój jedyny... ma dwadzieścia cztery lat!.. Co zechcesz, dam!.. Ozłocę ciebie!..

Wył, czepiając się nóg i szlochał.

— Któż ci winien, głupi człeku! Czemużeś wcześniej nie przyszedł? U was chłopów zawsze tak! Zwlekacie, a potem bieda!

— Panie! Wszystko oddam — mienie całe!.. Ratuj!.. Macie to...

Wyjmował z zanadrza wszystkie, jakie miał, pieniądze.

— Aha! tak! ratuj! Ot lepiejbyś był wcześniej przypomniał mnie sobie. Weź pieniądze, niepotrzebne mi są! Dam lekarstwo, ale żeby lżej skonał.

Chłop skonał — byłto jedyny wypadek śmierci w praktyce lekarskiej Żurby.

Czytanie "Technologii“ rozogniało jego wyobraźnię. Najbardziej był rozwinięty w kierunku technicznym. Otrzymawszy odpowiednie wykształcenie zawodowe i poświęciwszy się mu całkowicie, mógłby wykształcić zdolności wynalazcze. Szcze-

SPRAWY EKONOMICZNE.

ŁÓDŹ—SOSNOWICE I MOSKWA.

Członek moskiewskiego Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu p. Szarapow zwiedził umyślnie okrąg przemysłowy Królestwa a wyniki swoich badań i spostrzeżeń wygłosił w odczycie, później zaś wydał w oddzielnej broszurze p. t. *Dla czego Łódź i Sosnowice zwyciężają Moskwę.*

Autor zebrał wiązankę dosyć ciekawych materyałów i wysnuł z nich wnioski, często bardzo słuszne, ale niekiedy uzasadnione niedostatecznie lub niewłaściwie. Już sam punkt wyjścia rozumowań nastręcza pewne wątpliwości. P. Szarapow twierdzi np., że kiedy współzawodnictwo wewnętrzne przechodzi pewne, normalne granice, jedna ze stron konkurujących posiadać musi przywileje, druga zaś ponosić szczególne ciężary. Tymczasem, jak to zresztą sam później ubocznie wyznaje, przy jednakowych, mniej więcej, formalnych warunkach jedna strona zwyciężać może drugą za pomocą naturalnej przewagi ogólnego poziomu kultury, energii, wydoskonalonej techniki, oszczędności itd. Nauka ekonomiczna wdzięczną byłaby niezmiernie współpracownikowi *Rusi* za wskazanie *normalnych* granic współzawodnictwa, dotychczas bowiem sądzono zwykle, że ustanowienie norm ogranicza wszelkie współzawodnictwo, czyli, ściślej mówiąc, znosi je w zasadzie.

Niewłaściwie również wybrał autor przykłady „niezdrowego“ współzawodnictwa, gdyby bowiem znał lepiej warunki przemysłu żelaznego w Rosyi i zechciał spojrzeć na mapę Cesarstwa, nie dziwiłby się wcale, że w niektórych guberniach środkowych żelazo polskie walczy zwycięzko z uralskiem. Gubernie te bowiem leżą w tej samej prawie odległości od Królestwa i od fabryk uralskich, ułatwione zaś komunikacye pozwalają wytwórcom tutejszym sprzedawać towar taniej, ponieważ kapitał ich obraca się kilkakrotnie, gdy tymczasem transport żelaza z Uralu odbywa się tylko raz do roku. W kosztach przewozu nie może być wielkiej różnicy, jeżeli zważymy, że polskie żelazo idzie zwykle pod postacią wyrobów gotowych, lub pół-wyrobów. Ten sam wzgląd tłomaczy nam również, dla czego przędza sosnowicka i łódzka dochodzi aż do Moskwy, bo przewóz pół-fabrykatu wypada taniej nabywcom tamtejszym, aniżeli przewóz surowej bawełny.

Jest tedy widocznem, że albo p. Szarapow nie zbadał dokładnie sprawy, o której pisze, czego nie przypuszczamy, albo też pojęcia jego o prawidłowem współzawodnictwie mają czysto miejscowy, specyficzny charakter. Niezdrowem i nienormalnom jest taki stan rzeczy, który przyprawia o straty kieszeń kupców i przemysłowców moskiewskich. Jakkolwiek więc autor oświadcza, że nie występowałby przeciw rozwojowi bratniego narodu, gdyby przemysł Królestwa był polskim, my dziękując mu za to życzliwe zapewnienie, rozumiemy bardzo dobrze, że właściwie idzie tu o to tylko: czy zrobi z nas knedle Schultz, Miller i Comp. czy też „au naturel“ spożyje nas p. Kołupajew.

Jest wszakże w broszurze p. Szarapowa jedna strona, na którą powinniśmy zwrócić baczną uwagę — mianowicie stopniowe niemczenie zachodniej części Królestwa. Na tym punkcie łatwiej przyjść do porozumienia, bo jest to dla nas sprawa tak ważna, że za pomyślne jej rozwiązanie oddalibyśmy i dobrodziejstwa rozwoju przemysłowego i nadzieję szczęśliwego współzawodnictwa z Moskwą. Najazd niemiecki przybiera coraz szersze rozmiary. Dane, przytoczone przez p. Szarapowa, świadczą o tem wymownie, jakkolwiek autor kładł nieraz zbyt silne barwy i dla efektu brał rozbrat ze ścisłością. W Łodzi znalazł on np. jedną tylko polską fabrykę, w Sielcu i Sosnowicach kilka, robotników zaś uważa za niemców. Wiemy o tem, że tak nie jest, ale dla nas ta właśnie podrzędna rola, to upośledzenie żywiołu polskiego w przemyśle, niewywołane względami konieczności, ale przeprowadzane systematycznie, jest bardziej może oburzającem, aniżeli kolonizacya niemiecka.

Ciekawy jest opis rozwoju Sosnowic, które z szybkością właściwą chyba stosunkom amerykańskim w ciągu lat kilku ze zwyczajnej osady wyrosły na wielkie miasto. P. Szarapow opowiada, jak najpród rząd sprzedał kopalnie cudzoziemcom, jak potem przeniosły się fabryki, jak chętnie witały niemców władze miejscowe, które, (np. naczelnik powiatu) prowadziły nawet urzędową korespondencyę z nimi w ojczystym ich języku. Fabrykantom niemcom wolno było robić, co się podoba, nie istniały dla nich żadne przepisy administracyjne i prawne. Dopiero w ostatnich czasach zmienił się taki stan rzeczy, ale niemcy zakorzenili się tak silnie, że energia władzy spotyka trudne do przezwyciężenia przeszkody. Polityka celna pośrednio wywołała napływ obcych żywiołów, wtedy bowiem niemcy przenieśli fabryki swoje do Królestwa. Cynicznie, ale trafnie nieraz odzywa się o tem autor niemiecki F. Dernburg redaktor *National-Zeitung*: „Sprzyjać zakładaniu na swej ziemi naszych fabryk nazywa się u nich polityką narodową. Ale do kogo należą te fabryki, kto je prowadzi? Dyrektor, zarządzający, majstrowie—niemcy. Rosyanin (lub polak) stworzony jest tylko na robotnika i zostanie nim wiecznie.“

„Jest to dla nich, rozumie się, nieprzyjemnem. Wybaczcie, przecież są oni wielkim narodem! Ale niech co chcą mówią ich Katkowy i Aksakowy zostaje im do wyboru, albo być europejczykami, a wtedy my im jesteśmy potrzebni, albo otwarta droga do Azyi, *dann gute Nacht Russland*.“

Niemiec ten wypowiedział otwarcie to, co myślą jego współrodacy. Ale jeżeli Rosyi wspaniałomyślnie ofiarują pobyt w Azyi, nas bez żadnych względów po prostu przeznaczają na pożarcie.

Nie „przestarzałe“ prawodawstwo Królestwa, nie różnice w opodatkowaniu fabryk—bo te w porównaniu z ogólną sumą obrotu znaczą nie wiele, nie zła wola „wiecznych fantastów i frazeologów“—polaków, podtrzymują i dopomagają do rozwoju przemysłu niemieckiego. Władza państwowa położyła lub położyć zamierza kres dalszemu niemczeniu kraju, do którego w znacznej mierze jak wykazuje p. Szarapow, jeżeli nie przyczyniała się świadomie, to przynajmniej dopomagała bezwiednie.

Czy jednak błędy poprzednie dadzą się odrobić, czy asymilacya ludności napływowej niemieckiej jest możliwą? P. Szarapow pytania tego nie porusza, dla nas ma ono jednak niezmierną wagę, chociaż w dzisiejszych warunkach możemy dać na nie tylko przeczącą odpowiedź. Niemcy nie mają nawet potrzeby uczyć się dzisiaj innego języka; znajomość polskiego, ograniczonego do ciasnej bardzo sfery, nie jest im potrzebną, rosyjskiego zaś potrzebną tak rzadko, że nauka jego przedstawia bardzo małe korzyści. Dla stosunków handlowych wystarczy kilkudziesięciu agentów, dla porozumienia się z władzą—przykład ludności miejscowej, która również języka rosyjskiego nie zna, jednakże rozkazy odbiera i wykonywa, prośby zanosi i otrzymuje na nie odpowiedzi. Spo-

---

gólnie zajmowały go wielce wszelkie przetwory substancyi roślinnej. Żywiczne części drzew szpilkowych nadawały się najbardziej do tego. Technologia przemysłu leśnego pouczała Żurbę, że z odziemków sosnowych i wierzchołków smolnych w krajach, mających wysoką kulturę, wytwarzano, prócz smoły, jeszcze i terpentynę. Wyuczył się więc tak doskonale sposobu urządzania smolarni, że zrobił model i ułożył kosztorys materyałów budowlanych.

— Aleź, panie Żurbo, to cacko prawdziwe — unosił się dziedzic nad modelem. Ani mi w głowie postało, żebyś pan zdolny był do podobnych rzeczy! No, no... Cacko!

— To cacko, panie podkomorzy — tłomaczył Żurba z twarzą rumieniącą się i okiem pałającem — gdyby wedle niego zbudować smolarnię, dałoby panu wiele dochodu...

— Tak pan sądzisz? Na czem to opierasz?

— Na wielu rzeczach. Najprzód w lasach pańskich znajduje się nieprzebrana moc pniów sosnowych, powtóre smoła jest dziś rzadkim towarem u nas i bardzo jej poszukują w stepowych częściach kraju, przytem wyrób leśny ciągle trwa i przysparza coraz więcej pniów.

Dziedzic z zajęciem słuchał.

Tegoż roku jeszcze sprowadził sobie niemca-chemika, Gunsta. Ten mu smolarnię budował. Niemiec miał dużo wiedzy, umiał chodzić około retorty, lecz nie był biegłym w technice. Ciągle mu coś się psuło.

Był jednego dnia wiosennego wieczór uroczy, gdzieś na kępach bagien żórawie grały swoje „kirył-ryl,“ drozd smętnem ćwierkaniem żegnał czerwoną i wielką tarczę słońca, kryjącego się za grzbiet ziemi, ligawka pastusza wstrząsała wspaniale lasem. Pan dziedzic z synem swoim, marszałkiem, i z Żurbą przybyli na uroczystość otwarcia smolarni. Panował śród polanki leśnej gmach jej, najeżony kadziami i kominem, owinięty splotami rur przeróżnych. Stały tam na piętrach litrówki, na których sterczały rury, zakończone „żmijką“ do wypuszczania zbytecznej pary, w innych kadziach chłodziły się w wodzie wężownice do skraplania terpentyny. Gmach ukrywał w sobie mur, a w nim tkwiły cylindry żelazne do łuczywa. Naładowano je, dym czarny zakłębił się z komina — z ust rzemieślników i wyrobników wypadł okrzyk podziwienia: aaa! patrz, patrz!“ Dziedzic uścisnął rękę Gunstowi. Chłopi gwarzyli:

— Patrz! Szatańska sztuka! Nie zbliżaj się w nocy do niej — bies cię opęta...

— Bóg wie, co z tego będzie, pewno nieszczęście...

— Gdzie się podziały nasze dawniejsze *smolarki*?

— Pokryją się lasem, ta trawą...

— Myślisz, że nasz brat potrafi co w tej fabryce?

— To ci głupi! Naszego brata choroba tam spotka — ta niemoc ciężka.

— A wszystkiemu winien niemiec!..

— A nie zdejmą cię kolki, plucho dyabelski!

Nie radzi byli nowości. Minęło sporo czasu, a smoła się nie ukazywała, para zaś rozsadziła litrówkę, kalecząc ciężko robotnika.

— Pękło! — krzyknęli chłopi. To nieczysty duch — uciekajmy!

Robota ustała. Za drugim razem znowu się nie powiodło niemcowi. Od nagromadzonych gazów w cylindrze pękła „zasuła,“ zamykająca otwór, którędy łuczywo wkładano. O mało smolarnia się nie spaliła. Wtedy Zazorski odprawił niemca, a Żurbie powiedział: „Namówiłeś mię, teraz sam radź!“ Zawrzało w duszy Żurby. Ubódł go ton mowy chlebodawcy, uczuł się skrzywdzonym, więc odpowiedział tak:

łeczeństwo polskie znowu nie posiada żadnych środków asymilacyi żywiołu napływowego, owszem znajdują się nawet słowianofile—jak np. p. Łamanskij, którzy sądzą, że dla interesów Rosyi korzystnem jest—zniemczenie Królestwa.

Przemysł niemiecki w walce współzawodniczej posiada taką przewagę, jakiej żadne przepisy dla strony przeciwnej nie wytworzą. Na pierwszym planie stoi kredyt w porównaniu z rosyjskim bajecznie tani. Dalej naturalne warunki kraju, pomyślne w równej mierze i dla przemysłu polskiego, mianowicie bliskość kopalni żelaza i węgla. P. Szarapow zalicza jeszcze do warunków sprzyjających taryfy celne i kolejowe. Te ostatnie ułożone są w ten sposób, że przewóz towaru z Warszawy do Moskwy kosztuje taniej, aniżeli np. z Moskwy do Kijowa. Nie ma sporu, że taki system taryf przewozowych jest niesłusznym, ale żądanie przemysłowców moskiewskich, żeby przewóz z Warszawy do Moskwy kosztował drożej aniżeli odwrotnie, bardziej jeszcze zasługuje na to miano. Dyferencyalne opłaty celne, które zapewniłyby przywilej miejscowościom oddalonym od granic z punktu widzenia państwowego nie mają żadnej racyi, domagać się ich może tylko *polityka narodowościowa*. Zmiany te dotknęłyby również przemysł polski, który, bądź co bądź, istnieje przecie, dla tego to właśnie zaznaczyliśmy powyżej, że ekonomiczna strona tej sprawy sprowadza się poprostu do współzawodnictwa dwóch apetytów. Sądzę, że dla przeznaczonych na strawę jest to najzupełniej obojętnem.

Nie należy więc prądu tego, którego wyrazicielem jest p. Szarapow, kierować na nasz młyn, jak to uczyniły niektóre pisma, bo właściwie przebiega go jeden tylko strumyk, który poruszyć może nasze koła. Kiedy autor wkracza w dziedzinę polityki, możemy zgodzić się i podpisać jego wnioski, oraz skorzystać z pouczających wiadomości, jakie zebrał skrzętnie. W sprawie ekonomicznej zaś broszura p. Szarapowa pouczającą jest dla nas, że tak powiem, podwójnie.

J. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

18 stycznia.

Odczyt p. Rogozińskiego. — Wykład ks. Chotkowskiego. — Towarzystwo św. Łukasza.

Zdawna zapowiedziany odczyt pana S. Rogozińskiego o podróży w głąb afrykańskiego lądu odbył się dziś po południu. Sala posiedzeń Rady miejskiej przepełniona była publicznością, szeregi powozów czekały na ulicy. Od czasu wykładów prof. Stanisława Tarnowskiego nie pamiętam podobnego tłoku. Ludzie najlepszego towarzystwa nie żałowali trudu, by dowiedzieć się o kameruńskich górach. Pod szczęśliwą gwiazdą urodzić się musiał p. Rogoziński! Bo ileż to razy ta sama sala, wypełniona na jego przyjęcie, świeciła pustkami i wiała chłodem z niezajętych krzeseł ku poważnym pracownikom nauki, mężom niestrudzonej myśli i wiedzy. Silne oklaski powitały zjawienie się prelegenta, który rozpoczął czytać opis swej podróży głosem dźwięcznym i cichym. Zacząwszy od wyjazdu z portu Havre, przedstawił całą podróż wiodącą ku Fernando-Po wzdłuż zachodnich brzegów Afryki szczegółowo, zdał sprawę z wycieczki do assinijskiej monarchii, której potężny władca 108-letni starzec przyjmował go z gościnnością, jaka chyba kwitnie jeszcze w Afryce; dalej powiódł słuchaczy na swej *Łucyi Malgorzacie* w dalszą drogę po Oceanie, a celem tej drogi ostatecznym *), osiągniętym po licznych walkach z trudnościami, była kameruńska kraina. U stóp wspaniałych gór, pokrytych gąszczami lasów, pożegnał podróżnik słuchaczów opisem ogólnym podzwrotnikowych obszarów i zeszedł z katedry odprowadzony burzą oklasków. Odczyt był bezsprzecznie zajmujący nowością przedmiotu i barwą treści. Jako utwór literacki nie przeszedł jednak wartością powierzchownych a gładkich odcinków, jakie ukazują się w pismach. Tu i owdzie tylko przebłysnął epizod pełen świeżości i wdzięku, opowiedziany z prostotą, i okrasił całość, stanowiącą raczej szablonowy dyaryusz zewnętrznych wrażeń, niż treściwą charakterystykę obyczajów, życia i pojęć mieszkańców Afryki zachodniej.

Dzienniki krakowskie — w pierwszym rzędzie *Czas* — wyniosły pod niebiosa wartość naukowych zdobyczy p. Rogozińskiego; spodziewać się godziło, że odczyt będzie szczegółowem poparciem tych zapewnień; tymczasem ani jednem słowem p. Rogoziński nie rozjaśnił tajemnicy przywiezionych skarbów wiedzy. Zapewne dopiero po opracowaniu notat i zebranych materyałów obdarzy nas całą ich pełnią — dziś podzielił się tylko wspomnieniami smutków i uciech *).

Wiele już sądów wydano o tym człowieku: wieńczono go laurami, wyśmiewano, darzono pogardliwem wzruszeniem ramion, oceniano go jako obywatela, pracującego dla ojczyzny, ale nazywano go zarazem awanturnikiem. I w jednem i w drugiem wiele przesady — najlepiej odmalował się sam dzisiaj, przyznając otwarcie, że góry kameruńskie były jego ideą życia, że śnił o nich na ławach szkolnych, tęsknił na pokładach okrętowych, wyrywał się z kraju, z dziwnem, uroczystem biciem serca rachował chwile, dzielące go od upragnionego spełnienia marzeń. Musiał koniecznie pogrążyć się w objęciach tych gór dalekich — podobnie jak artysta musi więzić na płótnie swe pomysły, lub jak zagorzały antykwaryusz musi mieć w swych zbiorach cacko Benvenuta Cellini. Kamerun, to jego namiętność; przyznaje się do niej otwarcie — tem chętniej mu się wierzy, że ani cienia przechwałki, ani drobiny blagi i próżności nie było w jego opowieści. Jest to objaw należący do dziedziny psychologii—wobec niego na drugi plan zejść powinna sprzeczka o dobrem lub złem jego obywatelstwie i śmieszność musi przypaść w udziale tym, co widzieli w jego wyprawie rodzaj posłannictwa w imię nauki i prawdy.

Dniem pierwej inny odczyt zwabił niedzielną publiczność do sali Muzeum techniczno-przemysłowego. Prelegentem był ks. prof. Chotkowski, klerykalny Don Kiszot Koła polskiego w parlamencie austryackim a miły sercu krakowskiego wstecznictwa kaznodzieja. Sprawozdanie odczytu tego, który za przedmiot miał *Chrzest Litwy*, rozpoczął *Czas* słowami: „Tutejsze Towarzystwo oświaty ludowej zainaugurowało szereg wykładów popularnych dla ludu żyjącego i pracującego tu w mieście, któremu wykłady owe i potęga żywego słowa wie-

*) Celem ostatecznym miało być pierwotnie zbadanie jezior Liba. (*Red.*).

*) Była to też główna zdobycz wyprawy. (*Red.*).

— Przedstawiłem panu model i kosztorys. Przyznano mi zdolności pod tym względem. Pańska to wina, że zamiast mnie wezwać do zbudowania smolarni, sprowadzono niemca.

Dużo go kosztowało, gdy to mówił. Wzruszył się i usta mu drżały. Słowa wypowiedział jednym tchem.

Wziął się jednak do roboty i po swojemu urządził, zaglądając często do nieodłącznego poradnika swego, do „Technologii“ w zielonej okładce. Nie zawiódł dziedzica, smolarnia dobrze działała. Z dniem każdym rosły rzędy beczek ze smołą i butle z terpentyną. Siła jakaś popychała tego człowieka, ilekroć do zajęcia jakiego się zaprzągł. Pijak, gdy raz usta przytknie do naczynia z trunkiem, nie oderwie się, aż nieprzytomny padnie. Tak samo Żurba w pracy. Leniwy był i rad odkładał, nim się jął roboty, potem ciągnął do końca, nie odrywając się — duszkiem. Gdy smoła z cylindra zaczynała ciec dolnemi i górnemi rurami do kadzi, a terpentyna, sącząc się z wężownic do odbieralników, wydawała dźwięki usypiające i powietrze przesyciło się dusząco-orzeźwiającą wonią spirytusu drzewnego, był w swoim żywiole, nozdrza mu wtedy rozdymały się.

Nocne godziny najniebezpieczniejsze są w pędzeniu smoły. Jestto chwila, gdy gazy najbardziej się naprężają po rurach i kadziach, wtedy baczność wielka być musi, bo z niedozoru smolarnia łatwo w powietrze mogłaby wylecieć. W takich razach Żurba czuwał nocami, odpędzając sen herbatą i fajką. Zjawiał się w smolarni, jak mara, i budził znużonych robotników. Nie znęcał się jednak nad nimi, w gęby nie bił, tylko gderał lub łajał. Za to ilekroć zdybał którego w miejscu, gdzie zapalnych rzeczy było dużo, z fajką w ustach, wyrywał mu ją gniewnie i ciskał do kadzi z wodą. Kilka razy zdarzały się wypadki. Raz para wysadziła zatyczkę z litrówki. Rzut był tak silny, że trafiwszy w przelocie robotnika, drewno owo rozszarpało mu mięśnie na ręce. Kiedyindziej znowu rura pękła, a Żurba, biegnąc szybko po schodach stromych, zatoczył się i stłukł sobie głowę w upadku. Odtąd żonę jego, gdy smolarnia była w ruchu, nie opuszczała trwoga, rozstrajając jej zdrowie wątłe i często sen spędzając z powiek.

Chłopom potrzebne były pieniądze, więc wyrabiali łuczywo. Ciężka to jest robota. Musieli najprzód wykopywać pnie, mocno trzymające się korzeniami w ziemi, i podważać je drągami. Przy tem wszystkie mięśnie pracowały, trzeszczały kości i pierś jęki wydawała. Na trzy łokcie sześciennie — czasem dwa, a niekiedy i więcej pniów wyrwać i połupać potrzeba było, co tylko rubla dostawali. Żeby więcej wyszło łokci, układali łuczywo w „szury“ rzadko, nie ugniatając, z próżnią wewnątrz. Żurba przed wydaniem kwitu z odbioru sprawdzał. Nie zadawalniał się obejrzeniem z wierzchu, lecz trącał kijem w „szurę,“ łuczywo się zapadało, ukazując otwory. Chłop musiał na nowo składać w obecności jego. Nieraz z trzech szur zaledwie na dwie starczyło. Chłopi skrobali się w głowę i prosili o zlitowanie, obiecując podarunki z kur, jaj itp.

— Toć przecie grzech tak robić! — odpowiadał im. Sromu nie macie!..

Rzadkich cnót człowiek!

Wtedy nie stało już starego dziedzica, pana podkomorzego. Kości jego próchniały w grobach rodzinnych, pod kaplicą pałacową. Żurba służył jego synowi, marszałkowi szlachty. Był to człowiek nie gospodarny, marnotrawca dobra dziedzicznego. Co robił? Dobrał podobnych sobie „dziedziców“ i marszałkował im w hulatykach, grze w karty i rozpuście, a na majątku narastały długi.

(D. c. n.).

Z. (Komar) Piętkiewicz.

le pożytku przynieść mogą." Tak więc towarzystwo oświaty, stworzone przed paru laty pod hasłem kształcenia i rozwijania ciemnych warstw ludu— rozpoczęło nową fazę swej działalności na wskroś wyznaniową, moralną tendencyą.

Cała nicość tej rzekomej pracy dla ludu zajaśnieć musiała wobec szczególnego zbiegu wypadków, iż w tej samej sali przed kilkunastu laty odbywały się również przez wiele niedziel z rzędu odczyty innej natury. Zorganizował je twórca nowo wówczas założonego Muzeum, dr. Adryan Baraniecki. Były to wykłady bezpłatne z zakresu nauk tak pozytywnych i potrzebnych, jak: fizyka, chemia, wynalazki, sztuka zastosowana do celów przemysłowych itp. Okazy i przyrządy należące do zbiorów Muzeum służyły do objaśniania tych popularnych pogadanek, które znajdowały zawsze mnóstwo ciekawych słuchaczów pomiędzy rzemieślnikami, ludnością przedmiejską i młodzieżą szkolną. Tę tradycyę godziło się wznowić Towarzystwu oświaty — nie zastępując jej pobożnemi pogadankami na temat wspomnień niepowrotnej a obojętnej dla dzisiejszych biedaków przeszłości. Ale Towarzystwo dawno już rozminęło się z pierwotną swą myślą, dziś chce ono tylko garnąć wodę na młyny ultramontańskie.

Wiadomość o rozwiązaniu się Towarzystwa św. Łukasza prostuję w tem, że żywot jego przedłużony został, gdyż nieliczne, bo z kilkunastu osób złożone walne zgromadzenie uchwaliło nie dozwolić na zlikwidowanie. Wszyscy wybitni członkowie dawnego składu cofnęli się. Ale Towarzystwo żyć będzie, bo potrzeba tego dla chwały kilku panów, którzy przecież do towarzystw i komitetów należeć muszą — a z upadkiem św. Łukasza ubyłaby im jedna do tego sposobność.

W. P.

LITERATURA I SZTUKA.

Józef Siemiradzki. **Z Warszawy do Równika.** Wspomnienia z podróży po Ameryce południowej, odbytej 1882—3. Warszawa 1886.

P. Siemiradzki zwiedził w towarzystwie Sztolcmana i opisał niektóre okolice południowej części Ekwadoru; przedtem zaś, oczekując towarzysza podróży, poświęcił kilkanaście dni i kilkadziesiąt stronic swej książki na obejrzenie i opis Martyniki. Dwa te opisy stanowią też główną treść jego *Wspomnień*, po za tem pozostają tylko ulotne wrażenia — z okien wagonu lub na pokładzie okrętu odbierane i notowane.

Wylądowawszy w Guayaquilu (Ekwador) autor posuwał się nieustannie ku wschodowi — na odległość mniej więcej mil 30 od brzegów oceanu Spokojnego, zbaczając z drogi swej już ku południowi, już w kierunku północnym. „Mapa południowej części Ekwadoru," załączona przy książce, wykreśla w głównych zarysach drogę przebytą i oznacza — choć niezbyt dokładnie — zwiedzone przez autora miejscowości. Znaczenie głównych drogoskazów mają tu następujące miasta i osady: Guayaquil, Jaguachi, Alausi, Riobamba, Bannos i Mapoto. Tak więc minąwszy niskie stosunkowo pomorze (Guayaquil-Jaguachi) p. S. wkroczył w okolice górzyste, dotarł aż do najwyższej linii rozdziału wód (Riobamba-Bannos) i dalej aż do wschodnich stoków łańcucha Andów (Mapoto), skąd rzeki spływają już do oceanu Atlantyckiego.

Wiadomości czysto przyrodniczych nie oddzielił p. S. w opowiadaniu swem od wrażeń turysty, od spostrzeżeń z zakresu etnografii, antropologii itp. Dla tego też książka jego ma charakter malowniczej, ale bezładnej panoramy widoków i wypadków: umysłom zwykłych czytelników dostarczy ona wielu bardzo przyjemnych wrażeń, z pomiędzy których mała tylko liczba z należytą zachowa się jasnością; wszystkie inne utworzą w głowie profana miły chaos—coś nakształt przypomnienia niewyraźnych złudzeń haszyszu. Uczony— jeśli pracę p. S. weźmie do ręki, z trudnością będzie musiał wyławiać z niej fakty mniej znane lub bardziej charakterystyczne. Przyrodnik—nie znajdzie tam nic nowego, odświeży zaś w pamięci niejedno (obyczaje zwierząt, opisy roślinności lasów dziewiczych, nadewszystko zaś parę notatek z zakresu geologii). Więcej ciekawego materyału doszukać się tu może etnograf i socyolog.

Malownicze opisy obrzędów i wierzeń religijnych miejscowej ludności rzucają jaskrawe światło na proces wzajemnego „przenikania się" dwóch religii — starej i nowej, wyższej i niższej; z drugiej strony niska obyczajowość, granicząca niemal ze zbydlęceniem, obok żarliwości religijnej ●pisywanych ludów, może dostarczyć pewnych wskazówek osobom, badającym odnośną sferę stosunków (np. wpływ religii na moralność itp.). Ujarzmienie (ekonomiczne) i wyzyskiwanie niższej rasy przez wyższą pozwala znów socyologowi przyjrzeć się z bliska sprawie wytwarzania się „szlachetnych" i „niższych" klas społecznych.

Gdyby p. S.—wzorem np. Rehmana—zechciał poświęcić osobną i lepiej uporządkowaną część pracy stosunkom etnograficznym i społecznym Ekwadoru, oddałby tem naszemu piśmiennictwu bardzo znaczne usługi. Materyał bowiem jest tam więcej, niż obfity, autor zaś posiada widocznie dość wielką zdolność spostrzegawczą. Przy takiej więc nawet skali naukowego przygotowania, jaką p. S. się odznacza, mógłby on dla przyszłych socyologów i etnografów naszych cenny zostawić upominek.

Wartość książeczki podnoszą ilustracye, wykonane przez pp. Ryszkiewicza i Owidzkiego; niektóre z nich są prawdziwie piękne; inne—jakkolwiek mniej warte pod względem artystycznym—pomagają jednak nie mało do zrozumienia treści.

Stronie zewnętrznej *Wspomnień* p. S. zarzucić można brak starannego wykończenia i obfitość rusycyzmów. Po za tem język odznacza się nawet barwnością i życiem.

J.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 15 stycznia.

Literatura i krytyka szkoły naturalistycznej. — *L'oeuvre* Zoli. — *Tartarin sur les Alpes* Daudeta. — Nowele Guy de Maupassant. — Nowa powieść Bourgeta i nowe jego szkice krytyczne. — *Les contemporains* Juliusza Lemaitre'a.— *Memoires d'aujourd'hui* Roberta de Bonnieres. — Katedra Rewolucyi francuskiej. — Teatr ludowy.

Szkoła naturalistyczna zajmuje wciąż najwybitniejsze stanowisko w literaturze francuskiej. Zwać by ją raczej należało realistyczną, pisarze bowiem tej grupy nie trzymali się bynajmniej ślepo „naturalistycznego" wyznania wiary, określonego przez Zolę, a i sam mistrz sprzeniewierzał mu się niejednokrotnie, w ostatnich zaś swych utworach pozbył się zupełnie prawie szkolarskiego doktrynerstwa. Jeżeli przytem weźmiemy pod uwagę różnice talentu i przekonań każdego z autorów, możemy jedynie powiedzieć, że literatura francuska ostatnich paru dziesiątek lat rozwijała się w kierunku świadomie wytkniętym przez Taine'a, troszcząc się o dokładne wyświetlenie psycho-fizyologicznych i społecznych warunków, w jakich występowali powieściowi bohaterowie, o realne odtworzenie charakterów i ich zewnętrznego otoczenia. Szkoła naturalistyczna trzymała się i trzyma niewątpliwie „natury," przeciwstawiając ją „duchowi" od niej niezależnemu — i w tem tylko leży usprawiedliwienie nazwy, jaką przyjęła.

Jeden z mistrzów szkoły Gustaw Flaubert już nie żyje, uczniowie jednak gromadzą ze czcią i porządkują literacki po nim spadek. Wyszło właśnie świeżo całkowite wydanie jego utworów w sześciu tomach, obok korespondencyi i szczegółów biograficznych. Edmund de Goncourt, po wydaniu w r. 1884 powieściowej swej monografii *Chérie*, przestał pisać, a raczej tworzyć, pracuje bowiem nad pamiętnikami literackiej epoki, która dziś ma się już ku schyłkowi, obdarzył jednak piśmiennictwo dziełami niepospolitego artyzmu i głębokiej analizy. Emil Zola wciąż zajmuje stanowisko naczelne potęgą swego talentu i bystrością spostrzegawczą. W drukującej się właśnie ostatniej swej powieści, *l'Oeuvre* (Dzieło), jakby przeczuwając, że zbliża się rumiany zachód reprezentowanego przezeń kierunku—co ma ożyć w pieśni zaginąć winno w rzeczywistości — daje nam artystycznie odtworzoną genezę tego zwrotu, który narodził się we Francyi za cesarstwa. Bohater *l'Oeuvre*, Klaudyusz Lantier jest rewolucyonistą w sztuce, w malarstwie, jak Stefan Lantier z *Germinala* był rewolucyonistą społecznym. Około Klaudyusza grupuje się całe grono pokrewnych mu młodych duchów ze wszystkich prawie dziedzin twórczej działalności. Grono to żyje w ścisłej, bratniej ze sobą przyjaźni, burzy namiętnie stare tradycye artyzmu, nie uznaje żadnej powagi, ulegać chce tylko naturze i własnym natchnieniom. Posłuchajmy zdań wygłaszanych przez głównego prowodyra bandy, Klaudyusza Lantier. O malarzach dawnej szkoły powiada on, że są to „groszowi bazgracze, powtarzający kradzione tematy, osły lub przewrotni, bijący czołem przed głupotą publiki. Ani jednego silnego chłopa, któryby wymierzył głośny policzek filistrom!" Po Ingresie, któremu przyznaje pewne zalety, widzi on tylko Delacroix, mistrza romantycznego malarstwa, po nim zaś Courbeta—reszta to hałastra. „Patrzcie—mówi do swych towarzyszów— na tego starego lwa romantycznego, jakie śmiałe zacięcie! Oto dekorator, który miał zapalać tony! A co za ręka! Gdyby mu pozwolono, zamalował by wszystkie mury Paryża; paleta jego gotowała się i przelewała na wszystkie strony. Wiem, że to tylko fantazmagorye... potrzebne jednak były, ażeby spalić szkołę... Potem pojawił się inny, wytrwały robotnik, najrealniejszy malarz wieku. Courbet, realizm jednak jego, który wywołał taką wrzawę, polegał jedynie na wyborze tematów, mistrz atoli odtwarzał je jeszcze według przepisów starej szkoły.. Obaj oni, Delacroix i Courbet, posunęli sztukę naprzód, dziś zaś, dziś potrzeba czegoś więcej. Czego? Sam nie wiem jeszcze—mówi Lantier—gdybym jednak wiedział, byłbym największym mocarzem sztuk.

Nie określa on sobie jeszcze tego jasno, czuje jednak, że w obrazach Courbeta brak powietrza, światła, brak zupełnie realnego odbicia natury... W postaci Klaudyusza Zola uosobił zmarłego już dziś przyjaciela swego, Maneta, twórcę szkoły *de plain air*, „impresionizmu." Siebie samego zaś odtworzył w postaci młodego literata Sandoza, przyjaciela artysty nowatora.

W pysznem gwiazdkowem wydaniu wyszedł niedawno *Tartarin sur les Alpes* Daudeta. Tenże sam Tartarin z Tarascon podróżował już za sprawą autora w 1870 r. po Algierze. Obecnie odbył wycieczkę po Szwajcaryi. Są to z niezwykłym hu-

morem opowiedziane przygody i zmyślania południowca, przywykłego z natury okłamywać siebie i drugich. Książka, wydana przez *Figaro*, z licznemi doskonale wykonanemi ilustracyami miała ogromne powodzenie. *Aventures prodigieuses de Tartarin de Tarascon* wychodziły owego czasu w odcinku *Figara* i nie zwróciły prawie na siebie uwagi; autor był jeszcze nieznanym. Daudet jest południowcem, zna więc na wylot swych ziomków i umie opowiadać z niepospolitą werwą i zajęciem. Zapowiedziano już także nową jego powieść *Une rupture dans le monde*, czas jednak jej ukazania się nie jest jeszcze oznaczony.

Niesłychanie płodny nowelista młodej szkoły Guy de Maupassant wydał świeżo nowy tom swych obrazków i szkiców p. t. *Monsieur Parent*. *Gil Blas* i *Figaro* często pomieszczają większe lub mniejsze nowelki tego autora, który sypie niemi jak z rogu obfitości.

La Nouvelle Revue drukuje nową powieść Bourgeta, *Une crime d'amour*. Posiada ona zalety i wady poprzednich utworów beletrystycznych młodego krytyka. Ukazał się też niedawno drugi tom *Essais de Psychologie contemporaine* Pawła Bourgeta. O studyach tych krytycznych napiszę obszerniej. Uzupełniają one rozpoczęty przez autora w tonie pierwszym obraz pesymizmu i eklektyzmu, toczącego literaturę spółczesną i wybitniejszych myślicieli naszego czasu.

Drugie miejsce w liczbie młodych krytyków francuskich obok Bourgeta należy się niewątpliwie Juliuszowi Lemaître, krytyczne swe studya pomieszcza on w *Revue politique et litteraire*, obecnie zaś wydał je osobno, zebrane w jednym tomie, zatytułowanym *Les Contemporains*. Lemaître stoi pośrodku między Saint-Beuve'm a szkołą Taine'a. Nie bada on ściśle rozbieranego autora według wskazówek metody pozytywnej, często improwizuje tylko *à propos*, posiada jednak bystry zmysł obserwacyjny i sąd wyrobiony. Gdyby nie był eklektykiem o barwie nie dość określonej, studya jego wiele by na tem zyskały. W szeregu szkiców pisarzy spółczesnych Lemaitra zasługuje na zaznaczenie charakterystyka Zoli i Ohneta. Autora *Germinala* przyrównywa on do... Homera i znajduje wiele dowodów na poparcie tego zestawienia. Epicki charakter utworów Zoli widzi krytyk w tem, że przedstawiają one w grubych zarysach materyalną przedewszystkiem stronę i ludzi, wskutek czego typy występują z prymitywną jakąś siłą postaci homerowskich. Na wzór greckiego barda Zola lubi również naciskać ciągle na jakąś szczególną materyalną cechę charakterystyczną swych bohaterów, którą wbija nam w pamięć. Natura przytem u niego podobnie jak u Homera żyje i porusza się. Krytyk przypomina między innemi szyb Vorent w *Germinalu*, który występuje jako dzika bestya, żyjąca i tucząca się potem i krwią górników. Wglarze znowu utożsamiają niejako w swem wyobrażeniu złego ducha, władnącego kopalnię z towarzystwem akcyjnem, która tę czartowską własność posiada i eksploatuje. Porównaniem swojem Lemaitre wyświetlił niektóre strony talentu Zoli, co się jednak tyczy wartości tego porównania—to wydaje mi się ono więcej dowcipnem, niż słusznem.

Jeżeli jednak L. pisze o Zoli z całem uznaniem dla jego mistrzowstwa, to Ohneta odsądza zupełnie od wszelkiego rzeczywistego artyzmu. Jest to, zdaniem jego, fabrykant powieści i sztuk, robionych zręcznie i cieszących się ogromnem powodzeniem dla tego, że są w zupełności zastosowane do przeciętnych gustów zwykłej publiczności i nad nią niczem się nie wznoszą. Ohnet odbija najzupełniej wszelkie wyobrażenia filisterskiego mieszczaństwa, pochlebia mu i świat cały przedstawia w świetle jego pojęć. Wszystko więc w nim płaskie i ograniczone, nawet uczciwość jest najzupełniej codzienną.

Pisząc o studyach literackich można nadmienić i o *Memoires d'aujourd'hui* Roberta de Bonnières. Autor zyskał pewien rozgłos wydaną w roku zeszłym powieścią *Les Monach*, jako krytyk atoli żadnych zalet nie posiada. Jego studya literackie pisane bez należytej wprawy, przeplatane długiemi cytatami z charakteryzowanych pisarzy, pozbawione są wszelkiej głębszej myśli i krytycznego zmysłu. Autor jednak podaje nam wiele, zakulisowych nawet szczegółów biograficznych, dotyczących kilkunastu pisarzy spółczesnych i dawniejszych, i z tego względu *Pamiętniki* te zasługują na przejrzenie.

Kronikę niniejszą zakończę wiadomością, że paryska Rada miejska uchwaliła wypłacać corocznie 12,000 fr. na utworzenie w Sorbonie osobnej katedry Historyi Rewolucyi francuskiej. Wykładać będzie p. Aulard, znany z *Lundis révolutionnaires* zamieszczanych w *Justice*. Utworzeniem tej katedry radykalna rada paryska pragnie przeciwdziałać upowszechniającej się dziś za śladem Taine'a tendencyi przedstawienia pierwszej rewolucyi w świetle wyłącznie prawie ujemnem.

Pod skrzydła rady miejskiej Paryża ucieka się jeszcze jeden projekt pp. Etievant i Richard, pierwszy dziennikarz, drugi autor dramatyczny, powzięli myśl założenia subwencyowanego przez Radę miejską *Teatru ludowego*. Projektodawcy powiadają, że dawno już myślano o założeniu rzeczywistej ludowej sceny, która by wolną była przesądów i konwenansów, panujących jeszcze na deskach teatralnych a obcych zupełnie ludowi. Przybytek ten dawałby dramata historyczne, utwory opisowe, obrazy z życia codziennego i stosunków spółczesnych, przedstawiając to wszystko w świetle wyobrażeń inteligentnego robotnika paryskiego. Kwestya *ludowego* teatru jest istotnie otwartą...

P.

Literatura czeska.

Wrchlicky Jarosław. **Sonety Samotnika (Samotárze). Poezye.** Nakładem J. Otty w Pradze, 1885 r.

Autor w zbiorku tym, podzielonym na 8 osobnych części, w pięknej nader formie wypowiada myśli i uczucia, kojarzące się z duchem czasu.

Jako łza w poranku zorzy złotej, chwieje się w głębiach ciemnych ziemia, gdzie osłodę życia człowieczego stanowi miłość, będąca jedyną prawdą; bo szczęście jeno w piersi naszej się chowa, ona bowiem jest przyrodzonym obrazem matki karmicielki, o której pieśń ludowa mówi, iż łzy jej jako rzeka płyną, zmywając rany grotem nieprzyjaciela zadane (Arabsky motiw). Bóg, którego poznać możemy jeno przez sztukę starożytnych synów Hellady, jest wieczną miłością, czuwającą nad snem niemowlęcia i wlewającą w matkę siły na ciężką walkę życia.

W części drugiej, zatytułowanej: „Okna malowane,“ poeta przenosi się w wieki naiwnej i zmysłowej wiary, kiedy to jedną ręką czyniąc znak krzyża, drugą podkładano ogień pod stosy, mające pochłonąć ciała kacerzy i mniemanych czarowników. Różnobarwne okna starej bazyliki, zdobne wzorzystymi kwiatami, wijącymi się koło zadumanych postaci świętych, kąpią się w blaskach purpurowej tęczy. I morze światła oblało w kształcie tryptyku ołtarz gotycki, a odbijając się różowemi barwami na wychudłych obliczach ascetów, purpurą okryły łabędzie piersi pokutującej Magdaleny, i w czaszce u stóp nadobnej pokutnicy, dwa płonące jak dyamenty blaski słońca, zdają się wołać w przestrzeni świętego przybytku: miłość! miłość! miłość! (Rozmary swietla). Słońce ginąc w ciemnych kirach mroku ostatniem płomieniem w różach okien złotą błysnęło zorzą, i na aureolach świętych ogień zapłonął, topiąc świątynię w morzu opalowem. Przez główne okno starożytnego tumu księżyc zajrzał srebrzystem półkolem. To już nie światło miłości żarem płomiennej, lecz bladawe raczej promyki wiecznej i tkliwej litości na cierpienia braci, która widnieje nawet we łzach bohaterów, na płytach grobowych bądź ze spiżu odlanych, bądź z głazu wykutych. Gdy słońce, światło z jarzących świec dymy kadzideł i hymny napełnią bazylikę i organ potężnym zahuczy gromem, wtedy zdaje się, że wśród szczęku oręża i zgrzytu łamanych kopij, porozwieszane za ołtarzem i pyłem wieków okryte proporce znowu powiewają nad głowami zwycięzców. Nawet siwobrody starzec, mający przedstawiać Boga w obrazie sądu ostatecznego, uśmiecha się na widok róż kwitnących u stóp góry i gwarliwego zgiełku, zebranych na sądy aniołów i synów piekieł. Nie w hymnach jednak i gwiazdami tkanych szatach Madonny, tudzież w bladych licach męczenników, lecz w wawrzynach, różach i pląsach młodzieńczej zawsze Hellady, prawdziwy wre żywot. Chleb, który dawni pustelnicy za pośrednictwem cudownego kruka z niebios otrzymali, dzisiejszym eremitom, tonącym w ideale prawdy i piękna, w twardy zamienia się kamień (Prostranni okno).

Sztuka jest sama w sobie celem. Poezya odpowiednia duchowi czasu—to jak liść wiecznie zielonego drzewa, pod którego cieniem, chłód nas błogi owionie, ptaszek w sercu zanuci i miły pokój zaświta (Co dobrá báseň).

Poezya spółczesna—to jak jaskółka, lepiąca sobie gniazdeczko nad tuneiem, gdzie dniem i nocą swist pary i kłęby czarnego dymu nie płoszą kwilących ptaszęt. Minęły czasy umierającego Chattertona, gdy wieszczowie na podobieństwo cieni, przesuwali się przed obliczem spółczesnych; dziś jeno rozsądek zdrowy i dłoń spracowana, otwierają świątynię sławy (Poeta i świat). Lepiej chłodzić się w rzece, niż stać pod słońcem z obnażoną głową (Pekelné wino). W „Nowych maskach i profilach“ poeta wprowadza nas do panteonu wieszczów świata, gdzie między innemi, rozpoczynając pochód od Homera, mówi o Mickiewiczu, iż imię jego w jedną spaja całość rozproszone Słowian szczepy. Nad bronzy i marmury, któremi pamięć jego uwiecznić zamierzamy, on jako kolos mityczny w sercach naszych zapanował. Śpiew Mickiewicza, to kwiat lotosu, pełen wdzięku, piękna i siły, brzemiennej tajemnem przeczuciem przyszłości.

Zadaniem pieśniarza jest, aby śmiało patrząc w przyszłość, budował to, czego dotąd niewykonano, bo świat żądny czynów, śmiesznością okrywa sny i marzenia. Nagrodą też poety jest wolność ptaka, który ginie w eterze...

Justyn Feliks Gajsler.

TEATR.

Bezczelni Augiera.

Utwory, oparte na głęboko odczutej prawdzie, nie starzeją się tak łatwo i zachowują długo siłę żywotną. Dowodem tego komedya Augiera *Bezczelni*, napisana przed dwudziestu kilku laty. Grano ją niedawno w Paryżu—a po raz pierwszy w naszym Teatrze Wielkim, na poranku benefisowym p. Bolesława Leszczyńskiego, który ukończył 25 lat działalności aktorskiej. Do dziś dnia utwór Augiera pozo-

stał świeżym, nie trąci ani trochę stęchlizną. Chłoszcze on moralny cynizm, rozpierający się śmiało na widowni życia, ufny w potęgę i pieniądze. Głównym przedstawicielem *Bezczelnych* jest Vernouillet, spekulant giełdowy, który wydobył się na wierzch za pomocą szczęśliwego oszustwa i ograbienia akcyonaryuszów fikcyjnego banku. Pogardzony, kupuje następnie dziennik i staje się potęgą jako handlarz opinii publicznej. Używa on całego sprytu, aby wyjść na człowieka honorowego, oczyścić się w oczach ogółu, zyskać stanowisko męża szanowanego i poślubić nadobną bankierównę. Zamiary te udają mu się, ale tylko w części, albowiem przerachował się w robocie skandalicznej i ściągnął na siebie oburzenie.

Drugim bezczelnym jest Giboyer, pyszne określona postać wojennego opryszka dziennikarskiego, którą potem w osobnej sztuce Augier spotęgował i rozwinął. Człowiek ten ma zasady, wierzy w ideały demokratyczne, ale dla miłego grosza staje się najmitą i fabrykantem skandalów. Zresztą znajdujemy tu cały szereg ludzi, którzy są w pewnej niezgodzie z kodeksem prawnym i obyczajowym. Bankier Charvier zrobił taką samą operacyę, jak Vernouillet, i używa spokojnie jej owoców wobec pobłażania opinii. Margrabina d'Auberive zwiodła kiedyś swego męża dla młodego literata Sergine'a—a stary szlachetny arystokrata, nie chcąc rzucać plamy na swą żonę a zarazem siostrzenicę, separuje się z nią i zostawia swobodę pożycia z kochankiem. Związek margrabiny i Sergine'a cieszy się tolerancyą. Ludzie ci nie są bezczelni, posiadają sztukę nadania pozorów, która tak wiele znaczy w stosunkach towarzyskich. Autor nie chłoszcze moralnie tej obyczajowej obłudy, ale wykazuje tylko nienaturalność położenia dwojga wykolejonych. W końcu sztuki margrabia ujmuje się za spotwarzoną siostrzenicą i godzi się z nią—Vernouillet dostaje odkosza. Sergine, uwolniony z obowiązkowej pańszczyzny wierności dla margrabiny, łączy się z kochającą go panną Charvier, której ojciec na żądanie syna płaci dawne długi, mażąc stare swoje grzechy bankierskie.

Pod względem społecznym autor odmalował tu zetknięcie się dawnych i nowych warstw społecznych, dawnej arystokracyi rodowej z nową potęgą finansistów. W akcie trzecim, w scenie narady redakcyjnej rzucił dużo głębokich, szczerze liberalnych poglądów na zagadnienia niedawno ubiegłej epoki. Pod tym względem komedya *Bezczelni* jest owocem tego ducha republikańskiego, który wśród gangrenujących rządów drugiego cesarstwa wzrastał stopniowo, gotując się do odegrania przyszłej politycznej roli. Augier występuje tu jako spokojny, ale stanowczy rzecznik liberalizmu, piętnuje bezwstyd moralny, jakkolwiek niepotrzebnie z drugiej strony uświęca obłudę konwencyonalną. Na scenie główny urok komedyi stanowią żywo i dosadnie rysowane charaktery, oraz parę umiejętnie wydobytych efektów, jakkolwiek w zakończeniu sztuka mocno kuleje.

Role jej główne odtworzyli barwnie lub z werwą: panna Marczello, panowie Tatarkiewicz, Prażmowski, Ostrowski, Rapacki i Leszczyński, który jako benefisant zbierał główne żniwo oklasków za grę pełną smaku. P. Leszczyński należy do wybitniejszych talentów naszego personelu. Odznacza się samorzutnym zapałem, intuicyą, która lubi bujać swobodnie i nie zawsze się da ująć w karby ściśle odmierzone. Gdyby miał harmonię artystyczną, świadome panowanie nad zapałem i fantazyą, gdyby posiadał tak wysoką zdolność porządkującą, jak werwę zapał i brawurę, połączoną ze świetnymi warunkami—byłby wyjątkowem zjawiskiem na scenie naszej. I bez tego jednak jest aktorem niepospolitym, który potrafi pokonać lub zadziwić oryginalnością. W kierunku tragicznym godnymi uwagi są jego: Otello, Syn Puszczy, Karol Moor, z innych ról Szekspirowskich grał świetnie Benedykta i Petruchia w komedyach: *Wiele hałasu o nic* i *Poskromienie złośnicy*. Wyborny jest w postaciach salonowców, arystokratów, a nawet rezonerów, o czem świadczy cały szereg jego ról w *Akrobacie*, *Miłości ubogiego młodzieńca*, *Półświatku*, grywa wreszcie bardzo dobrze ojców dramatycznych (Bracia Rantzau) a nawet role z odcieniem komicznym, rozwijając albo oryginalną ruchliwość (Homar), albo też humor cyniczny, jak np. w roli Strassa z *Rozbitków* Blizińskiego. Obecnie talent Leszczyńskiego znajduje się w pełni rozkwitu, a gra jego zyskała na spokoju, wykończeniu i równości.

S. K.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pierworodne dziecię nowego roku — *Jadwiga* p. Jareckiego. — Moździerze jednako nabijane. — Co nam przybyło. — Polacy w stanie pary i zgęszczenia na innej planecie. — Właściwy przedmiot nienawiści ks. Bismarka. — Korzyść z nieszczęścia. — Dla pędzla Matejki.—Ilustracya historyi. — Trafna uwaga p. Szeligi. — Pogoń za nowymi pomysłami. — Sekcya konkursu dramatycznego.

Już kilkanaście dni miał nasz rok nowy, a jeszcze ciągle był bezpłodnym, ciągle drażnił ciekawość naszą pytaniem: co też naprzód urodzi? Nie przywiązano do niego wielkich nadziej, uznano go za karła podobnego ojcu, mimo to wszakże niecierpliwie — przynajmniej ja oczekiwałem jego pierwszego dziecka. Przybyło wreszcie na świat, powitane chórem błogosławieństwa i serdecznych życzeń, rozsławione głosem wszelkich dziennikarskich instrumentów. Telegraf bowiem doniósł ze Lwowa, że p. Jarecki wystawił *Jadwigę*, operę, „zawierającą nieporównane piękności,“ która „między najcelniejszymi utworami polskiej muzyki zajmie zaszczytne miejsce.“ Przypuszczam, że każdy pobożny patryota, usłyszawszy taką wiadomość, zdejmuje kapelusz, klęka, gdzie stał, i dziękuje Bogu; co do mnie, jako poganin, zwracam się wówczas do mojego fetysza, którego zawsze noszę w sercu, i mówię do niego: duchu dobry, ty źródło mojej siły, spraw, ażebym równie mógł być rozkoszą ludzi. Bo chyba nikt nie zaprzeczy, że wzbogacenie narodu jakiemkolwiek wielkiem dziełem jest chwałą, którą uczcić należy i o którą kusić się warto. To też usta moje brzmiałyby tylko radością z cudzej zasługi i skargą na własną niemoc, gdyby mi wesela nie zatruwała jedna gorzka kropla — mianowicie, że pewne nasze arcydzieła, zwłaszcza muzyczne, szybko wietrzeją. Zauważyłoś już zapewne sam czytelniku, że gdy z zagranicy przybiegnie wieść o narodzeniu się genialnego utworu, zwykle nie bywa ona kaczką. Jeśli przeczytamy, że Verdi napisał piękną operę, wkrótce mamy sposobność to sprawdzić. U nas przeciwnie zdarzają się częste zawody. Po wystawieniu *Konrada Wallenroda* Żeleńskiego, cała ziemia polska przez dwa tygodnie trzęsła się od pochwał, buchających gorąco lawą, a według przepowiedni podobnie trząść się miał wkrótce i cały ląd europejski. Tymczasem dotąd *Konrad Wallenrod* ze sceny lwowskiej nie przeskoczył na żadną inną, a nawet w miejscu swego jedynego tryumfu tak stracił urok w oczach wielbicieli, że go odstępują dla *Jadwigi*. *Jadwiga* p. Jareckiego jest znowu tą długo oczekiwaną operą polską, która w przybytku sztuki narodowej stanie obok utworów Moniuszki. Nie znam jej, nie badam więc jej praw do tronu; ale zapytam: jak też ona długo siedzieć na nim będzie? Kilka miesięcy — rok — dwa? Bodajby dłużej. Mam wszakże złe przeczucia, które mnie nie opuszczają przy znanym huku dziennikarskich moździerzy. Bywają one na każdą uroczystość nabijane jednakowymi ładunkami, tak, że słysząc salwy, nie wiem, czy one ogłaszają Boże Narodzenie, czy też dzień św. Dydaka. Nieraz już wierzę, że objawił się geniusz— niezadługo wszakże sami kanonierzy armatek chwalczych przyznają, że za dużo dosypali — prochu.

Gdyby tedy można było ufać telegramom i korespondencyom, należałoby w *Jadwidze* p. Jareckiego widzieć niezwykły wybłysk twórczości polskiej — pierwszy wspaniały promień, jaki wytrysnął z młodej głowy nowego roku. Niestety, nie udoskonalono jeszcze tak telegrafu, ażeby on był złym przewodnikiem kłamstwa, a krytyka galicyjska częściej zmienia swe sądy, niż nasza *Kronika lekarska* redaktorów i wydawców.

Kto nosi w polskiej duszy jakiś cenny dla świata klejnot, niech go co prędzej na wierzch wydobędzie, gdyż może wkrótce, dzięki przyrządom i metodzie słynnego chemika pruskiego, Bismarka, cały żywioł polski zamieniony zostanie w parę. Pod tą bowiem jedynie postacią będzie mu wolno istnieć w świecie. Jako nieszkodliwa, spokojna masa ciał skazany został na zagładę, z ziemi wyparty, musi więc w stanie gazu wzlecieć do góry i albo pływać z obłokami, albo zgęstnieć na innej planecie. Bakterye choleryczne, szarańcza, zwierzęta drapieżne mają zapewniony przez owego przyrodnika dłuższy żywot i większe pobłażanie, niż polacy, którzy nie zadowoliliby swego prześladowcy, gdyby nawet jako 12 milionów żebraków stanęli przy wszystkich drogach kuli ziemskiej z wyciągniętemi rękami, głodni i obdarci. Bo i wtedy zwołałby on konferencyę do Berlina dla obmyślenia międzynarodowych środków przeciwko żebractwu. Tymczasem wypędził kilkadziesiąt tysięcy ludzi niewinnych, którzy nieraz — jak dowiedziono — ponieśli dla Niemiec wielkie ofiary i otrzymali wieńce wawrzynowe, a nadto zapowiada przeciw polakom „prawa wyjątkowe.“ Że to będą „prawa“ skuteczne — nie wątpię, jakie zaś będą—odgadnąć można z kwiku mieszańca polskiej rasy, tuczonej niemieckiemi żołędziami, profesora z uniwersytetu wrocławskiego, d-ra Miaskowskiego. Zacny ten „ekonomista“ (jest to nazwa, którą uczeni muszą dzielić z rabusiami) zaleca prusakom przywrócenie rozporządzenia z r. 1833, według którego majątki polskie subhastowane nabywało państwo i sprzedawało niemcom. Rozumie się na takim skromnym „środku obronnym“ przeciwko „polonizowaniu niemców“ wynalazca głowa ks. Bismarka nie poprzestanie; maluczko a ujrzymy duży bukiet politycznej moralności krzyżackiej.

Szydercze uśmiechy lub gniewne potępienia rzucał „żelazny książę“ na te czasy, kiedy polacy, nie szanując żadnego porządku państwowego, knuli spiski i buntowali się przeciw wszelkiej władzy. Zdawało się, że ten człowiek nienawidzi w nich tylko rewolucyi, tymczasem obecnie przekonywamy się, że on w nich nienawidzi pracy, spokojnego rozwoju, karności, rozwagi, sił umysłowych. Nigdy bowiem nie był względem nich tak okrutnym, jak obecnie, kiedy odradzają się wewnętrznie i opierają swoje biedne życie na gruncie prawnym. Po za pustym, przez samych niemców dostatecznie wynicowanym frazesem o „polonizowaniu“ wschodu Prus, nie może on przytoczyć żadnego powodu, żadnego faktu, któryby usprawiedliwiał drakońskie gnębienie ludzi niewinnych. Czy wszakże

kanclerz zwróci swoje ofiary z dotychczasowej drogi ciężkich dorobków na dawną drogę zuchwałych lub szalonych przedsięwzięć? Wątpię, chociaż znam logikę rozpaczy. Nie wątpię natomiast, że polacy z tej swojej niedoli wyniosą jedną ważną korzyść, zrobią to, co powinni byli zrobić dawno — pozbędą się ostatecznie wszelkich złudzeń względem niemców, odetną się od nich wiecznym rozbratem — a co za tem idzie — zesłowianizują się. Jeżeli dotąd czuli niechęć do swych pobratymców, to chyba ją teraz w sercach swych zmażą. Niezależnie od klęsk, polityka pruska, drapieżna, nielitościwa, zdzierająca ze swego dzikiego oblicza nawet ludzkie pozory wyświadcza Słowiańszczyźnie wielkie dobrodziejstwo — spaja ją, jednoczy, łagodzi różnice i wzmacnia sympatye, wskazuje wspólne cele. Orli miał wzrok ks. Bismark, ale w starości przyślepł, nie sięga już okiem do dalszych okresów przyszłości, nie widzi w niej późnych plonów swego posiewu, koniecznych skutków swej okrutnej działalności, ale widzą młodsi jego rodacy, którzy już dziś przepowiadają czas odpłaty za lekkomyślnie i niegodnie wyrządzone krzywdy. Słowiańszczyzna dotąd spisuje tylko rachunek swych strat — kiedyś go zamknie i zażąda pokrycia.

Tragedya, której wątku dostarczył kanclerz niemiecki, zawiera nietylko głęboką boleść, ale ma także swoją wspaniałą grozę godną pędzla— Matejki. Doprawdy mistrz krakowski, który tak potężnie przedstawia ważne akty dziejów naszych, nie powinien ominąć tego ostatniego. Mam nadzieję, że historya zapisze ów straszny wyrok zagłady, ale czy go oceni należycie i przechowa potomnym wiernie? Tu musi jej dopomódz sztuka. Wygnanie żydów z Palestyny a maurów z Hiszpanii, męczeństwa chrześcian, palenie odszczepieńców — wszystkie te okrucieństwa bardziej utrwalił w pamięci ludzkiej pędzel, niż pióro kronikarskie. Geniusz artysty jest tu sprawidliwym i niepokonanym sędzią, który nie zadrży przed żadną przemocą, którego głos sięgnie w sumienie najodleglejszych pokoleń. Czemu zaś jakiś malarz historyczny za dwieście lat ma wskrzeszać chwilę obecną, kiedy współczesny świadek lepiej ją odtworzy? Czemu Matejko ma przedstawiać „hołd pruski" a nie „edykt pruski?" Pójdę dalej: według mnie jest to jedyny człowiek, któregoby uląkł się ks. Bismark, którýby go powstrzymał w okrucieństwie lub za nie ukarał. Kto posiada wpływ na mistrza krakowskiego, niech go do takiego obrazu nakłoni. Gdybym zaś ja posiadał geniusz twórcy *Sejmu* i *Unii*, odrzuciłbym wszystkie Joanny d'Arc, wszystkich świętych i książąt a zacząłbym malować Arbueza polskiego, ks. Bismarka.

Złe czasy nastały—bo myśl ciągle przebywa w polityce. Dowodem moje *liberum veto*, które coraz częściej na tę dziedzinę pada—na tę dziedzinę ze wszystkich dla mnie najwstrętniejszą. Wolę myśleć o ludziach jaskiniowych, o buszmanach, papuasach, niż o tkaczach politycznych. Więc odchodzę tam, gdzie swobodniej odetchnąć wolno. Kraszewski oskarżył publicznie p. Maryę Szeligę o samowolne i nieudatne przerobienie jego powieści *Herod Baba* na dramat. Obwiniona dowiodła listem, że sędziwy autor upoważnił ją do tej przeróbki; ponieważ zaś Kraszewski skutkiem tego zarzut odwołał, cała więc sprawa nie zasługiwałaby na zaznaczenie, gdyby p. Szeliga nie dotknęła w swej obronie jednego punktu zasadniczego. „Uganianie się nieustanne—powiada ona w *Echu muz.*—za nową myślą, z lekceważeniem i pominięciem doniosłości formy, jest dowodem płytkiego prostactwa pojęć." Nareszcie jest ktoś drugi, co tym dzwonkiem śpiących budzi. Od lat wielu grubo podkreślam smutny fakt pogoni za „pomysłami," który to sport nasi powieściopisarze, a zwłaszcza komedyopisarze przejęli od magików i kuglarzów literatury francuskiej. Nowa bajka stała się wszystkiem—obrobienie jej niczem. Mózgi wysuszają cały swój dowcip na wynalezienie jakiegoś świeżego i krętego wątku, który by uderzył niezwyczajnością i zakrył nią partactwo roboty. Gdy czytam przez całą pracę europejską z zadowoleniem powtarzane anegdoty o jakimś p. Sardou, który podczas wesołej rozmowy w kawiarni zerwał się i szybko odjechał do domu z pomysłem do nowej komedyi, co mu nagle błysnął w głowie, gdy słyszę naszych literatów szukających „dobrego tematu," zdaje mi się, że to nie są artyści, ale fabrykanci różnych *cri-cri* i „kwestyj rzymskich." Dla talentu bowiem wszelki „temat" jest „dobrym." Gdy Shakespeare siadł do pisania swego *Otella*, miał najzwyklejszy, zużyty przez milion mądrych i tyleż głupich pomysł—zazdrości mężowskiej. Gdyby zaś dziś żył i zechciał udramatyzować bajkę „o czapli na wysokich nogach, która chodziła po desce"— z pewnością stworzyłby dzieło znakomite.

Ale, sza! Nie mówmy tak głośno o tajemnicach sztuki dramatycznej, bo właśnie komitet konkursowy w prosektorium *Gazety polskiej* otwiera wnętrza wcieleń kilkudziesięciu „nowych pomysłów," między którymi jest kilkanaście starych księżniczek i książąt, ubranych w kryzy „białych wierszów" i powłoczyste suknie popielatej prozy. Niedługo już zapewne otworzą się drzwi grabarni i mistrze ze skrwawionymi skalpelami w ręku ogłoszą światu, który z noworodków pod ich błogosławieństwem ma żyć i otrzyma 1,000 lub 500 rs. wiana. Będzie to naturalnie „nowy pomysł" — oby także i — nowy talent.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Ideał wójta. — Ekonomska żyłka. — Przyczynek do etyki adwokackiej i szlacheckiej. -- Głos sumienia i głos lichwiarza. — Szlama-Mefistofeles. — Dlaczego żydzi boją się służby wojskowej.

Jakkolwiek prasa nasza utyskuje często bardzo na „obniżenie ideału" w literaturze, coraz częściej jednak wynajduje ideały w życiu. Rozmaite klasy społeczne miały po kolei zaszczyt służyć za wcielenie ideału, już to zbiorowo, już tylko w osobie wybranych przedstawicieli. Trudno uwierzyć, chociaż jest to faktem, że przyszła wreszcie kolej i na wójtów gminy. Po długich poszukiwaniach znaleziono wreszcie idealnego wójta, co prawda, nieżywego, ale za to tak wielkich zasług, że mu wdzięczna „własność większa," wystawiła pomnik po śmierci. Wójt-ideał „nie umiał ani czytać, ani pisać, ale posiadał te przymioty, które każdego człowieka czynią użytecznym członkiem społeczeństwa," mianowicie: „rządy w gminie prowadził nie pisarz ale on sam, furmanek stójkowych nie brał za darmo, na nieżyczliwych sobie nie nastawał i mieszkańców jednał." Chociaż włościanie mają powszechnie zwyczaj wybierać na urzędy „co najgłupszego," sądzę jednak, że znalazłoby się w Królestwie wielu wójtów, dorównywających nieboszczykowi w niepiśmienności i zasługach, brak im wszakże szczególnych przymiotów, jakie w dalszym ciągu *Gazeta polska* wylicza: „Dwory z wsiami stale prowadził do zgody. Jako rolnik z zawodu wiedział, że gospodarstwo wtedy tylko rozwijać się może, gdy niema *ścieśnień* (?) na uprawnym obszarze, więc też usilnie popierał zniesienie służebności i szachownicy drogą dobrowolnych układów i sam do tego czynnie przykładał rękę." Jeżeli dodamy jeszcze z *Gazety świątecznej*, że z panami naradzał się i rozumnych uwag słuchał, własna wyobraźnia zaś narysuje nam obrazek rodzajowy, jak ów ideał obejmuje pańskie nogi i całuje w łokieć proboszcza, to zrozumiemy, dlaczego obywatel, czy obywatele wystawili zmarłemu wójtowi pomnik. Doniesienie *Gazety świątecznej* zawiera zresztą jeden szczegół, który inne pisma opuściły. Na uroczystości poświęcenia nagrobka nie było wcale dzieci zmarłego, a nawet starszy syn i następca na urzędzie nie chciał wcale, żeby pomnik stawiano. Czy to niechęć do nieboszczyka, czy też niechęć do łaski pańskiej sprawiły, korespondent nie objaśnia, radzi tylko zasięgnąć wiadomości w parafii. W każdym razie wypadek ten świadczy, że albo ideał nie był bez skazy, albo też otoczenie, w którem żył, ma inne nieco pojęcia o wymaganiach, jakim ideał odpowiadać powinien.

Bądź co bądź, zmarły wójt życzliwością i pokorą zdobył sobie jakiś kątek w panteonie sławy narodowej, w którym odpocznie po trudach gospodarstwa i urzędu. Wiele upokorzeń znieść on musiał, ażeby kupić sobie ten zaszczyt. Bo dotychczas, czy w obcowaniu codziennem, czy w chwilach uroczystych, zwykle chłopa spotyka tylko wzgardliwa przychylność. Nawet w literaturze przebija się wyraźnie ta, niepowiem szlachecka, ale ekonomska żyłka pogardy dla chama. Korespondent nasz z Lublina zwraca uwagę redakcyi na taką żyłkę w *Gazecie* miejscowej, która zwykle, mówiąc o włościanach, odzywa się z przekąsem, tem bardziej niewłaściwym, że ci, których on dotyczy, nie czytają przecie pisma wcale. Wzmianka o bójce z powodu sporu o grunt, poczytuje włościanom za występek lub przynajmniej za wadę chęć posiadania ziemi. To przywiązanie do gleby, ten prawdziwy kult ziemi, jaki włościanin wyznaje, jest w znacznej części bezwiedną może, ale najwyższą cnotą społeczną, jest nadzieją naszej przyszłości, zabezpieczeniem naszego istnienia od klęsk nieprzewidzianych. Posterunku tego broni już dziś tylko chłop polski, i dopóki on go trzyma, możemy być pewni, że dziedzictwa swego nie sprzeda, nie roztrwoni i nie przefrymarczy a innym strwonić i zniszczyć nie da. Ponieważ zaś ta ziemia, którą miłuje, jest dlań wszystkiem, nic dziwnego, że dąży czasem do jej posiadania wszelkimi sposobami, na jakie zdobyć się może, że pragnie utrzymać jej jak najwięcej i broni swej zdobyczy, nie licząc się z wymaganiami prawa. Biorąc zaś nauwagę stan obyczajowy naszego ludu, bójka o grunt jest zwyczajną rozprawą, których tysiące warstwy inteligentne prowadzą w sądach. Dlaczego zaś argument pięści ma być etycznie niższym od wykrętu, nieposzanowania cudzej woli lub fałszerstwa—wytłomaczyć sobie nie umiem. Spodziewam się jednak, że pomoże mi rozwikłać tę wątpliwość współpracownik *Gazety lubelskiej*, piszący „o sądownictwie." Jasno i otwarcie wygłasza on obronę sofizmu adwokackiego, który nieraz już półgębkiem wypowiadali nasi znani i szanowni prawnicy. „Sędzia, usiłujący zbadać moralną stronę stosunku cywilnego—powiada on—mimowoli utraca (?) trwały grunt pod stopami, gdyż forma będąca duszą przepisu cywilnego, musi ustąpić przed słusznością." „Im większą sędzia przywiązuje wagę do wewnętrznego głosu sumienia, tem dowolniejszem bywa stosowanie przepisu." Młody sofista (o wieku świadczy styl autora) pragnie, żeby sędzia nie słuchał wcale sumienia, ponieważ w takim razie interpelacya przepisów musi być rozmaitą. Dla obrony swego zdania autor gwałci logikę (forma, która jest zarazem duszą) i etykę, zaraz zapomina zupełnie o zadaniu sądu. Przecie sąd istnieje dla wymiaru sprawiedliwości, nie zaś dla ujednostajnienia interpretacyi lub też dostarczenia adwokatom zarobku za prowadzenie spraw. Sędzia, który by nie słuchał głosu swego sumienia, byłby martwym

manekinem, złym urzędnikiem i gorszym jeszcze obywatelem. Jeżeli przepisy wymagają rozmaitego tłomaczenia, to dowodzi tylko, że albo są one niedostateczne, albo nie odpowiadają rzeczywistym stosunkom. Gdyby wszakże były nawet najlepsze, nigdy nie potrafią wcisnąć w ramy prawa pisanego różnorodności objawów życia. Nie w krępowaniu więc działalności sądu martwą literą przepisu, ale w rozszerzeniu zakresu jego samodzielności widzieć należy postęp społeczny. Rozumie się, wtedy koniecznym warunkiem jest posiadanie pewności, iż sędzia słucha tylko głosu sumienia, nie zaś pochlebnych lub też brzęczących dźwięków.

Szkoda, że *Gazeta lubelska* nie przytoczyła z kroniki miejscowego sądu wypadku, o którym niżej opowiem, bo sprawa ta wyjaśnia należycie jak to przepis rozmija się nieraz z głosem sumienia. Obywatel ziemski oddala ekonoma i zamiast zaległej pensyi wydaje mu kwit. Ekonom w ciągu roku dopomina się kilkakrotnie o należność, szlachcic zaś naznacza coraz nowy termin i długu nie płaci. Kiedy wreszcie zniecierpliwiony wierzyciel podaje skargę do sądu, p. obywatel oświadcza, że nie chce wcale mówić o słuszności żądania, prosi tylko o umorzenie sprawy, ponieważ należność z zasług ulega — rocznemu przedawnieniu. Sędzia gminny powództwo ekonoma oddalił. Ponieważ wierzyciel ma kwit, może spodziewać się, że w wyższej instancyi sprawę wygra, ale nie zawsze odprawiony służący posiada dowód piśmienny. Osoba, która dostarczyła nam szczegółów opisanego faktu, twierdzi, że nie pierwsza to już sprawa tego rodzaju w Lubelskiem. Opinia publiczna pobłażliwie sądzi niesumiennych krętaczy, gdyż „są oni w interesach," sąd zaś, jeżeli nie słucha głosu sumienia tylko brzmienia przepisu, musi uświęcać swym wyrokiem oszustwo.

Trudno niezmiernie sędziemu w Wilnie słuchać głosu sumienia, i nie ulegać pokusie lub też groźbie lichwiarzy, którzy trzymają w swych rękach cały personel urzędniczy. „Wszyscy rosyanie w tem mieście — powiada korespondent gazety *Sowr. Izwiestija* — są dłużnikami żydów." Opisu szczegółowego zastawiania sieci na nieopatrznych przybyszów nie powtarzamy, rzecz to znana, dodamy tylko, że według autora, katolicy jako lepiej oznajmieni ze stosunkami miejscowymi (a może oszczędniejsi) rzadko wpadają w łapkę. Ale nie idzie nam o wyzysk lichwiarski, pragniemy jedynie przedstawić obraz chłosty, jaką odbiera sędzia, który postanowił bądź co bądź słuchać głosu sumienia. Oto dosłowny opis tej scenki.

„Przed sędzią pokoju staje żyd Etkin, oskarżony o jakieś drobne przestępstwo. Etkin zachowuje się wyzywająco i sędzia skazuje go na trzy ruble kary. Żyd na to odpowiada: *nu! sztrafujtie*, i znowu odpiera grubiańsko. Sędzia skazuje go jeszcze na 10 rs. kary. *Nu, cztoż sztrafujtie* z uśmiechem odzywa się skazany. Gdy sprawa skończyła się, sędzia oznajmia Etkinowi, że karę pieniężną ściągnie zeń policya. Żyd wcale się tem nie martwi, dostaje z zanadrza jakiś papier i podając go sędziemu mówi: Nu, po co ja mam dawać policyi? Mam tu pański weksel na 400 rs., odpisz pan na nim 13 rubli i zapłać sam gdzie chcesz." Łatwo można wystawić sobie wstyd sędziego, narażonego na taką zniewagę wobec licznej publiczności. Sprawozdawca całą winę takich stosunków składa na żydów, gdyby czytał *Korespondenta płockiego* znalazłby jakby umyślnie przeznaczoną dla siebie odpowiedź. Autor wzmianki słusznie bardzo zwraca się przeciw p. F. M. opisującemu jakąś bijatykę, która zakończyła się tragicznie, bo śmiercią jednego z walczących, i zwalającemu winę tego zajścia na żyda Szlamę, ponieważ ten sprzedał nawianym wódkę przemycaną. „Biedny Szlamo! — woła płoczczanin—kiedyś przybył do wsi i sprzedał pół kwarty spirytusu, wcale nie przyszło ci na myśl, że stajesz się od tej chwili odpowiedzialnym za wszelkie skutki i następstwa, jakie twa marna pruska wódka za sobą pociągnąć może." Juści przemycanie wódki jest zajęciem zdrożnem i zasługującem na karę, ale nie oznacza przecie współwiny w zbrodni, jaką spożywca szwarcówki pod wpływem jej popełni. „Kiedyż wreszcie przestaniemy uważać pierwszego lepszego Szmula, Mośka lub Szlamę za naszego Mefistofelesa" —dodaje korespondent i robi trafną uwagę, że złe spoczywa w ogólnych warunkach bytu włościan. Jeżeli usuniemy te warunki, wówczas ten sam pomysłowy Szlama sprzeda między ludem użyteczne książki, także nie dla rozszerzenia światła, lecz dla zarobku, jak obecnie sprzedaje spirytus w tymże celu.

Płytkość nasza lubi takie „proste" objaśnienia za pomocą zasady: *post hoc ergo propter hoc*, kiedy zaś idzie o żydów, to nawet i pozorów objaśnienia nie wymaga. „Wiadomo, żydzi to są żydzi itd."—starczy za jedyny argument. Niedawno postawiłem zapytanie: dlaczego izraelici bułgarscy chętnie pospieszyli do wojska i bili się dobrze, nasi zaś w mysią norę schowaliby się przed karabinem. Już zestawienie tych faktów dowodziło, że nie tchórzostwo lub raczej nietylko tchórzostwo skłania żydów do ukrywania się przed służbą wojskową. Odpowiedzieć na pytanie i dziś dokładnie nie mogę, przytoczę jednak z *Gazety warszawskiej* kilka faktów, które dostarczą może materyału do wyjaśnienia ciemnej sprawy. W Wilnie młody żydek, skoro dowiedział się, że jest zdolny do wojska, wydobył nóż i przebił się, tak, że w kilka godzin później życie zakończył. Inny znowu, chcąc udać głuchego, nasypał sobie do ucha niegaszonego wapna, następnie zaś nalał wody. I ten również w cierpieniach niesłychanych skonał. Obcinanie palców u rąg i nóg jest rzeczą bardzo częstą. Trudno wypadki tego rodzaju objaśniać tchórzostwem, bo nawet w razie wojny żaden z tych nieszczęśliwych nie jest narażony na takie cierpienia i męki, jakie sam sobie zadaje. Porównanie, że żyd boi się karabina, jak dyabeł święconej wody, nikomu chyba nie wystarczy, bo jakkolwiek nie wierzę w zapewnienie *Izraelity*, że „krew Machabeuszów płynie w naszych żyłach," nie mogę sobie wyobrazić, żeby ćwiczenia z bronią sieczną lub też odległa perspektywa śmierci w boju, której prawdopodobieństwo każdy żyd, jako dobry rachmistrz właściwie ocenić potrafi, mogły skłonić człowieka do samobójstwa. Muszą być więc inne przyczyny, których zbadać nie staramy się, ale zbywamy je naszem polskiem: „jest w tem coś."

J. Nieborski.

Węgrów. Mieszkańcy tutejsi postanowili założyć szpital i szkołę czteroklasową. Obywatele okoliczni ofiarują na cel oprócz zapomogi pieniężnej, cegłę i drzewo. Na pomieszczenie dla szkoły nadaje się b. klasztor reformatorów, gmach ten stanowi własność rządu, jest wszakże nadzieja, że odstąpiony będzie miastu bezpłatnie lub na dogodnych warunkach.

Mińsk. Szkoła rzemiosł dla dzieci wyznania mojżeszowego utrzymuje się wyłącznie prawie z ofiarności publicznej, opłata bowiem jest bardzo niską i pobiera się tylko od zamożniejszych, kahał zaś udziela bardzo skąpy zasiłek. Pomimo tego szkoła rozwija się i liczy obecnie 400 wychowańców, w tej liczbie 11 chrześcian, funduszów na utrzymanie zakładu dostarczają wyłącznie inteligentni izraelici. Przykład pouczający dla Warszawy i innych miast polskich.

Łódź. Fabrykanci miejscowi złożyli 3.200 rs. stypendyum dla uczczenia pamięci generała Kochanowa, b. gubernatora piotrkowskiego obecnie zaś generał-gubernatora. Z stypendyum tego korzystać mają przedewszystkiem prawosławni, potem ewangielicy, a dopiero gdy nie będzie kandydatów obu tych wyznań — katolicy.

Tetar polski nie znalazł w Łodzi dostatecznego poparcia i Towarzystwo dramatyczne wyjechało do innych miast, natomiast bogaci przedsiębiorcy składają sute ofiary na subsydyum dla teatru niemieckiego. Jeden z zamożniejszych fabrykantów, znany jako „dobry syn przybranej ojczyzny" złożył na ten cel 4,000 rubli.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Setną rocznicę śmierci Mojżesza Mendelsohna (4 stycznia) obchodziły uroczyście Niemcy. Zapomniany już dziś „obrońca Boga i nieśmiertelności duszy," apostoł swobody myślenia, twórca filozoficznego języka w Niemczech zmartwychwstał w mnóstwie artykułów i broszur mu poświęconych. Porównywano go z Sokratesem, a chociaż niektórzy sprowadzali to podobieństwo tylko do wspólnej brzydoty i chociaż rzeczywiście miara ich siły umysłowej i wpływu była bardzo nierówną, zestawienie to ma poniekąd swoją racyę.

Ananas, wydawnictwo humorystyczne ilustrowane K. Bartoszewicza w Krakowie. Jest to zbiorek wesołych opowiadań, poezyj, anegdot itd., przeplatanych zręcznie rysowanymi obrazkami. Humoru w nim dużo—dowcipu—dosyć, tłustości—mało. *Ananas* należy niewątpliwie do najszczęśliwszych książek w swoim rodzaju.

Tanie, a właściwie najtańsze wydanie dzieł Mickiewicza (za 1 zł. r. 50 cent.) wyjdzie nakładem Bartoszewicza w Krakowie.

Radomianin kalendarz na r. 1866, wydany przez Z. Słupskiego. Wszelkie objawy ruchu książkowego na prowincyi cieszą nas bardzo; i ten więc skromny objaw myśli godzien uznania, pomimo swej zbyt miejscowej barwy. Bez wizerunku naczelnika straży ogniowej lub dyrektora kasy przemysłowej mógłby się *Radomianin* obyć—przyznają to zapewne sami uczczeni ołówkiem i rylcem.

Bibliografia. H. Struve *Estetyka barw*, Warszawa, nakład autora.

— P. Chmielowski, *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 20*, Warszawa, nakład A. Gruszeckiego.

Stary zabytek. W klasztorze misyonarzy w Krakowie znaleziono rękopis Biblii, pochodzący z XI wieku.

Muzeum zoologiczne zakłada w Warszawie hr. K. Branicki. Podstawę jego stanowią liczne okazy zebrane podczas podróży po Afryce przez ojca p. Branickiego. Urządzeniem muzeum, przy którem znajdować się będzie biblioteka przyrodnicza, zajmują się p. Taczanowski i Stolzman.

Protest. Michał Bałucki za pośrednictwem posła austryackiego wniósł do dyrekcyi teatrów cesarskich w Petersburgu protest przeciw przerabianiu dzieł jego przez autorów rosyjskich, którzy tłomaczenia te wydają jako oryginalne utwory. Bałuckiemu nie idzie bynajmniej o wynagrodzenie, ale o poszanowanie praw autorskich i napiętnowanie plagiatorów.

Popularność. Zakład fotograficzny Lerta w Sofii sprzedał w ciągu kilku tygodni 60,000 portretów ks. Aleksandra bułgarskiego.

Nadzór szkolny. Dla uczniów wyznania mojżeszowego zaprowadzono w Mińsku oddzielne stancye żydowskie, oraz zabroniono izraelitom udzielania korepetycyi chrześcianom.

Prasa polska. W Poznaniu zaczęło wychodzić pismo ekonomiczne *Trud*, które oświadcza że „stać będzie na gruncie religijnym" (?).

— W Millwauke w Stanach Zjednoczonych wychodzi czasopismo *Krytyka*.

Wypadki. W Kijowie wskutek wybuchu zniszczony został gmach arsenału, przyczem zginęło 4 ludzi, 3 zaś odniosło rany. Cały zapas kul (12 milionów sztuk) wybuch rozrzucił we wszystkich kierunkach.

— We Lwowie spłonęła szopa, należąca do magazynu wojskowego, w której trzymano włóczęgów i aresztantów policyjnych (?). Kilku z tych nieszczęśliwych spaliło się.

Nagrody. Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych z dzieł przysłanych na konkurs wybrało do pierwszej nagrody obrazy p. M. Kotarbińskiego: *Pod strażą aniołów* i Maszyńskiego: *Ostatnie wieści*. Drugą nagrodę

otrzymał utwór p. J. Ciąglińskiego *Chrystus u sadzawki Siloe*.

W dziale rzeźby pierwszą nagrodę dostał p. Zawiejski za *Popiersie wieśniaka*, drugą p. J. Wojdyga za *Rybaka*.

Studenci berlińscy na „kommerszu“ wyprawionym z powodu jubileuszu cesarza Wilhelma wypili 10,000 kufli piwa.

Koloniści. W tych dniach przez Warszawę przeszła partya włościan rosyjskich, którzy jako koloniści osiedlają się w okolicach Częstochowy.

Specyalista. P. S. Krzemiński *krytyk literacki* mianowany został naczelnikiem *biura statystycznego* drogi żelaznej iwangrodzko-dąbrowskiej.

Bobry na Polesiu znajdują się jeszcze w 7 miejscowościach, w dobrach Słuckich. Opieka nad temi zwierzętami jest bardzo staranna. W 140 chatach i 182 norach mieszka 314 starych i 252 młodych bobrów. Oprócz tego w niektórych okolicach Polesia mieszkają jeszcze bobry, ale w małej ilości.

Wybór. Prezesem komitetu Towarzystwa osad rolnych obrany został p. L. Górski.

Emigracya. W ciągu lat czternastu t. j. od 1871 do 1884 włącznie wyemigrowało z Księstwa poznańskiego do Ameryki 117,127 osób, najwięcej w r. 1881, bo 21,315 i wogóle w latach ostatnich 1882—14,931, w 83—12,548, 84—13,500, najmniej w 1877 i 8 bo tylko po 1,596 osób.

Ciekawy list z Ameryki pomieszcza *Gazeta polska*, autorem jego jest Izraelita rodem z Mławy, który przed kilku laty wyemigrował, obecnie zaś jest notaryuszem w Chicago. Twierdzi on, że polaków w Stanach Zjednoczonych liczą około 1/2 miliona, chociaż cyfra urzędowa znacznie mniejsza, ponieważ poznańczycy i galicyanie zapisują się jako prusacy lub austryacy. Żydzi tylko z Królestwa liczą się do narodowości polskiej, zajmują się zaś przeważnie handlem. Polacy dotychczas nie mają reprezentanta w kongresie, ponieważ nie mogą zdobyć się na organizacyę zbiorową, jedynie wychodźcy z Królestwa łączą się chętnie w większe gromady i są wogóle zgodniejsi, ale tych jest najmniej, przeważną zaś część ludności polskiej stanowią emigranci z zaboru pruskiego.

Kradzież. W biurze dyrekcyi naukowej łódzkiej skradziono bardzo ważne papiery urzędowe, które zapewne odnajdą się wkrótce w szpaltach dzienników niemieckich.

Wydział historyczno-literacki Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu wzywa ludzi interesujących się krajoznawstwem do zbierania nazw miejscowych: lasów, gajów, pagórków, jezior, stawów, bagien, strug, uroczysk i wogóle wszystkich miejsc niezamieszkałych. Dużo nazw takich zapisano na mapach pomiarowych dóbr ziemskich, inne znowu zachowały się dotąd w pamięci ludu. Materyał zebrany należy przesyłać do Poznania, najlepiej pod adresem Towarzystwa.

Zmarli. Baudry, sławny malarz francuski.

— O. F. Berg, popularny dziennikarz i autor dramatyczny wiedeński, redaktor pisma humorystycznego *Kikeriki*, zmarł w szpitalu obłąkanych.

— N. Tkaczew, znany publicysta rosyjski, później emigrant, skończył życie w Paryżu również w zakładzie dla waryatów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumerata. Nie „szarada,“ ale zwykła omyłka przy wstawianiu ogłoszenia, której ono przedtem nie zawierało.

P. K. Rom. w Szczuczynie. Bobrzyńskiego t. dwa, cena rs. 4 nakład Gebethnera i Wolffa.

Al. Al. V. Nie możemy Pana objaśnić, jakie są warunki wstępu na uniwersytety i życia studenckiego „za granicą,“ gdyż „zagranica“ to cały świat oprócz naszego kraju, a warunki w różnych jego punktach są różne.

P. Karolowi Str. w Sannikach. Przedewszystkiem: *O powstaniu gatunków*, potem *O pochodzeniu człowieka*, *O doborze płciowym*—dalsza zaś kolej może być dowolną. Niewolny od błędów, ale ostatecznie najlepszy *Słownik* Dubrowskiego.

P. A. Zaj. w Połtawie. O postaci. Pokrewną z dziełem Taylora jest książka *Życie i obyczaje zwierząt*, będąca wyciągiem W. Niewiadomskiego z wielkiej pracy Brehma. Kop. 50 pozostanie do pańskiego rozporządzenia, gdyż za tę cenę nic wysłać nie możemy.

OFIARY.

Na kasę Mianowskiego. Bogdan Rudnicki z Wysznie Wołoczka rs. 5, Antoni Dąbrowski z Sokołowa rs. 5. Marya Laskowicz z Piatkowszczyzny rs. 5, Jan Karłowicz rs. 10.

Dla biednych. Dowojno-Sylwestrowicz z Małowszczyzny kop. 5, Stasio i Zosia rs. 5.

Na wpis dla uczniów. Borowski ze Słucka kop. 50, K. P. rs. 3.

Dla studentów. Z. J. rs. 5.

Dla nędzy wyjątkowej Od A. K. z Olkusza dla uczczenia pamięci zmarłych rodziców i siostry rs. 2 kop. 50.

Dla studentek polek w Petersburgu. Władysław Szydłowski z Wyżnicy kop. 50.

Do rozporządzenia redakcyi. Za wypuszczony pierścionek na loteryę przez M. L. rs. 35.

Dla pogorzelców Grodna. Dąbrowski z Sokołowa rs. 2 kop. 25, Łopuszyński z Petersburga rs. 2 kop. 30, Marya Wrzeszcz rs. 3, Helena Wrzeszcz rs. 2, Julian Siemienkiewicz rs: 1—z Kijowa.

Dla polaków wydalonych z Prus. Dąbrowski z Sokołowa rs. 2 kop. 25, Władysław Witwicki z Werchnie Ufaleńskiego Zawodu rs. 1 kop. 50, za wypuszczony pierścionek na loteryę przez M. L. rs. 40.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Января 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.